PAŹDZIERNIK 1931

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM XIV

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 61 m. 3, TEL. 9-10-36

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1. Tel. 649-04

TREŚĆ:

KOMUNIKAT KOŁA PRZYJACIÓŁ „NASZEJ PRZYSZŁOŚCI".

Grupujące się dokoła naszego pisma Koło Przyjaciół „Naszej Przyszłości", złożone z jego współautorów i sympatyków, rozpoczęło posiedzeniem dn. 2 b. m. nowy sezon zebrań dyskusyjnych, zapoczątkowanych w ubiegłym roku.

Ze względu na konieczność ustalenia przedewszystkiem pewnych ogólnych wytycznych dla szeregu najbliższych zebrań i wogóle prac, z celami wydawnictwa związanych, nie omawiano na tem pierwszem posiedzeniu szczegółowo żadnego konkretnego zagadnienia, ale skonstatowano i uzgodniono w pierwszym rzędzie następujące kwestje:

1) Wobec ogólnej sytuacji państwa i jego rozlicznych potrzeb piekących, nie wystarcza sama tylko propaganda publicystyczna, ale należy dążyć również i do pewnej czynnej akcji w różnych dziedzinach, a zwłaszcza w takich, które szczególnie nadają się do traktowania przez niezależne, na ogólnej platformie zachowawczej pracujące grono Przyjaciół „Naszej Przyszłości". Miesięcznik nasz powinien być więc prawdziwie „żywym" nietylko przez swą treść, ale i przez czynne współdziałanie propagandowe grona jego przyjaciół w różnych sprawach o znaczeniu państwowem.

2) Z pośród takich spraw wyłania się dla wspomnianego grona przedewszystkiem kwestja odpowiedniego wdrożenia traktowania zagadnienia mniejszości narodowych, jako kapitalnego problemu państwowości polskiej, tembardziej, że w tym właśnie zakresie w ostatnich czasach — pomijając politykę czynników rządzących — zainteresowanie społeczeństwa polskiego z różnych względów zmniejszyło się i przycichło.

3) Należy wystąpić w sposób zdecydowany i bezkompromisowy przeciwko tym wszystkim objawom społecznego i naukowo-ekonomicznego defetyzmu wobec podświadomej ekspansji doktryn etatystycznych i kollektywistycznych, które — nurtując różnemi drogami i w różnej formie nawet w niektórych szeregach zachowawczych — osłabiają odporność psychiczną społeczeństwa polskiego wobec komunizmu, a w konsekwencji także i wobec wpływów bolszewickich, ujawniając się na razie w wielce niebezpiecznej teorji, jakoby ogólny rozwój stosunków społecznych i gospodarczych zmierzał zwolna, ale stale po linji t. zw. „umiarkowanego leninizmu".

4) Aby przyczynić się w odpowiedni sposób do akcji zwalczania panującego kryzysu gospodarczego, Koło Przyjaciół „Naszej Przyszłości" segreguje ten problem na dwie części: usunięcie przeszkód, wytworzonych przez demagogję i nadmierną „postępowość" dla normalnego rozwoju gospodarczego, oraz konstruowanie pozytywnego programu i środków zaradczych w różnych dziedzinach gospodarki krajowej. Tego drugiego zagadnienia — programu pozytywnego — Koło Przyjaciół „Naszej Przyszłości" dotykać nie zamierza, gdyż jest to zadaniem rządu oraz bezpośrednio zainteresowanych, fachowych sfer gospodarczych. Jest natomiast zadaniem par excellence naszego miesięcznika i grupującego się dokoła niego grona zwolenników wydanie zdecydowanej walki tym wszystkim ultrademokratycznym, ultrapostępowym lub nazbyt etatystycznym urządzeniom i stosunkom w państwie, które dowiodły dotąd wyraźnie, że swem istnieniem paraliżują i uniemożliwiają wszelką skuteczną reformę gospodarstwa krajowego.

W myśl powyższych wytycznych, które oczywiście nie przesądzają podjęcia z biegiem czasu innych jeszcze zadań, rozpoczną — a po części już rozpoczęły — swą akcję zarówno miesięcznik, jak i grono najbliższych jego przyjaciół.

Redakcja.

NAD ZAMKNIĘTĄ TRUMNĄ.

Podajemy poniżej ostatni artykuł ś. p. Tadeusza Hołówki, napisany na dwa tygodnie przed jego tragiczną śmiercią, a ogłoszony przez „Dzień Polski“ z początkiem września. Artykuł ten, będący jakgdyby reasumcją praktycznych doświadczeń autora w sprawie polsko - ukraińskiej i zarazem jego politycznem credo w sprawie Małopolski Wschodniej, konkretyzuje znakomicie, w krótkich, lapidarnych słowach, całe zagadnienie i dlatego podajemy go do wiadomości i naszych czytelników.

TRAGEDJA SPOŁECZEŃSTWA UKRAIŃSKIEGO W MAŁOPOLSCE WSCHODNIEJ.

Każdy uważniej obserwujący życie młodzieży ukraińskiej w Małopolsce Wschodniej, musi skonstatować, że przeżywa ona głęboki kryzys moralny, jest trawiona poważną chorobą, której na imię — anarchja. Młodzież ukraińska w Małopolsce Wschodniej dobrowolnie zeszła do podziemi konspiracyjnych, żyje w atmosferze tajnych organizacji, spisków, zamachów, napadów, podpalań i t. d. Musi to wszystko wytworzyć niezdrową atmosferę moralną. Dowodem tej niezdrowej atmosfery są notowane od czasu do czasu zabójstwa tych czy innych osób z grona młodzieży ukraińskiej — są to porachunki z bronią w ręku między poszczególnemi organizacjami tajnemi, względnie kara za rzeczywistą czy utajoną zdradę.

Zapewne pobudki młodzieży ukraińskiej w Małopolsce uciekania się do takich zbrodniczych metod walki politycznej, jak mordy, napady, podpalania, są dyktowane względami natury ideologicznej, wynikają z pragnienia

uwolnienia kraju od „polskiej okupacji“. Cała jednak bieda polega na tem, że tej okupacji niema. Nie można mówić o okupacji w kraju, który od 600 lat związany jest z kulturą i państwem polskiem, który, jeśli nie uległ jarzmu tatarskiemu, a następnie nie stał się prowincją moskiewską, to wyłącznie zawdzięcza to krwawym wysiłkom obronnym całego narodu polskiego. I nie może być mowy dziś o okupacji kraju, w którym „okupanci“ stanowią 50 proc. ludności, złożonej ze wszystkich warstw, poczynając od włościaństwa, a kończąc na miastach, gdzie przemysł, handel, zawody wyzwolone przeważnie w rękach ludności polskiej pozostają.

I ta ludność polska tu od wieków mieszka, pracuje, broni tego kraju. Tak, jak dwa dęby, które z dwuch ziarn, rzuconych do tej samej ziemi, wyrastają tuż obok siebie, aby z biegiem lat zrosnąć się swymi pniami w jedną całość, tak i zgórą pół tysiąca lat trwający proces dziejowy na Rusi Czerwonej te dwa odrębne społeczeństwa połączył, splótł, pomieszał — uczynił z nich drzewo o dwu pniach, ale wyrastających ze wspólnych korzeni. I nie zapaleńcom wśród młodzieży ukraińskiej swemi siekierami rozrąbać te poplątane korzenie, a tembardziej tak, aby jeden pień żył nadal, a drugi umarł.

Ale jeśli tego młodzież ukraińska nie rozumie — nietyle w tem jej winy, ile starszego społeczeństwa ukraińskiego w Małopolsce Wschodniej.

Przegrało ono w 1918 roku zbrodniczo rozpętaną wojnę z Polską — i nie umie dotychczas wyciągnąć ze swej klęski konsekwencji. A mogą być tylko dwie konsekwencje: albo całkowita negacja państwa polskiego, albo w ramach jego na platformie szczerej lojalności i współpracy z narodem polskim szukanie obrony własnych narodowych interesów. Tymczasem właśnie starsze społeczeństwo ukraińskie postępuje inaczej — formalnie uznaje suwerenność państwa polskiego nad Małopolską Wschodnią — dowodem czego udział w sejmie i senacie, ciałach samorządo-

wych, a nawet skargi do Ligi Narodów, bo ta przyjmuje je tylko od tych, którzy uważają siebie za lojalną mniejszość w danem państwie. Faktycznych jednak z tego formalnego stanowiska społeczeństwo ukraińskie nie wyciąga wniosków — gdyż wszędzie: w sejmie, senacie, instytucjach samorządowych, uprawia przedewszystkiem politykę negacji, biernego wyczekiwania na zmianę konjunktury.

Nic dziwnego, że młodzież z taką oportunistyczną polityką pogodzić się nie może — i w rezultacie coraz bardziej odsuwa się od starszego społeczeństwa ukraińskiego—idąc drogą konspiracji, spisków i terroru. Cóż z tego, że „Diło“ wypiera się tych aktów zbrodniczych — uroczyście oświadcza, że nic wspólnego z nimi nie ma społeczeństwo ukraińskie, twierdząc, że są to akty nieodpowiedzialnych jednostek — wtedy, kiedy wszyscy wiedzą, że te jednostki rekrutują się z szeregów ideowej młodzieży ukraińskiej, coraz wyraźniej przeciwstawiającej się swym rodzicom. I cóż dziwnego, że młodzież ukraińska przeciwstawia się, nie szanuje Lewickiego, Łuckiego, Mudrego i innych przywódców „Undo“ — bo gdy z jednej strony potępiają oni działalność najbardziej wśród młodzieży zapalnych i zdecydowanych, to z drugiej strony jednocześnie nie mogą dać jej żadnego pozytywnego programu politycznego — bo go nie mają.

I dlatego rósł rozdźwięk i połębiała się w sposób zatrważający przepaść między starszem a młodszem pokoleniem społeczeństwa ukraińskiego w Małopolsce Wschodniej. Wreszcie działacze ukraińscy to sami zobaczyli. Świadczy o tem odezwa nestorów społeczeństwa ukraińskiego, pp.: Romańczuka, Okuniewskiego i Kost-Lewickiego, którzy nawołując swych rodaków do jedności, jednocześnie zwracają się do młodzieży ukraińskiej z napomnieniem i oświadczeniem, że „nie mogą zgodzić się z tem, aby niedoświadczona młodzież porywała się do takich czynów, których następstwem jest wyniszczenie najmłodszego pokolenia i które nie przynoszą żadnych korzyści“.

Z uznaniem należy powitać ten głos przestrogi. Ale ci, którzy uważają się za przywódców społeczeństwa ukraińskiego, powinni, prócz przestróg, wskazać młodzieży prostą drogę ku przyszłości.

Byłem obecny na żałobnej akademji, urządzonej w Warszawie na cześć ś. p. Tadeusza Hołówki mniejwięcej w tydzień po jego okrutnej śmierci. Patrzałem i słuchałem.

Jeden po drugim występowali poważni przedstawiciele narodów, przez Rosję i czerezwyczajkę uciemiężonych — Ukraińców, Gruzinów, Kubańców, Tatarów, Kirgizów. Występowali nie w staroświeckich kaftanach, z sajdakiem na plecach, ani z nożami i pistoletami za pasem — jak to sobie naiwny czytelnik różnych kurjerków może wyobraża, ale w dobrze skrojonych czarnych marynarkach i smokingach, wygłaszając kolejno po polsku, po francusku lub w rodzimych językach piękne, niepozbawione szerszego politycznego gestu przemówienia nietylko na cześć Hołówki, ale zarazem i na cześć Polski, jako jedynego, rycerskiego kraju, który sprawę narodów uciśnionych brał i bierze zawsze głęboko do serca i exulom ze wschodu udziela nietylko azylu, ale przedewszystkiem duchowej podniety do walki w obronie ich narodowych idei.

„Inne państwa zachodnie — stwierdził jeden z mówców — udzieliły nam, wygnańcom z pod czerwonego terroru, dachu i chleba. To prawda. Ale tylko w Polsce spotkaliśmy prawdziwych przyjaciół, ze ś. p. Hołówką na czele, spotkaliśmy gorące serca, które, pamiętne na własne ongiś cierpienia w walce za „naszą i waszą wolność", zrozumiały nas i dodały nam otuchy! To też w Polsce, w Warszawie, powstało zrzeszenie pod nazwą „Prometeusz", które pod polską opieką skupia w sobie idee, prace i wysiłki tych wszystkich uciśnionych przez Moskwę narodów, które przy końcu wojny światowej nie dostąpiły szczęścia odzyskania niepodległości".

Patrzałem i słuchałem. I ponad bezpośredni, żałobny temat tej akademji biegła myśl moja daleko na skrzydłach płomiennych słów przemówień. Ujrzałem Polskę, a raczej polską ideę mocarstwową, z jej olbrzymią, twórczą misją na wschodzie. Zajmował mnie zawsze ten temat, był nawet mojem credo, ale teraz poraz pierwszy przedstawił mi się w żywej, pulsującej pragnieniem postaci. W postaci nawet całkiem realnej, skoro „Polska jest istotnie jedynym, rycerskim krajem, który najgorętsze pragnienia tych uciemiężonych narodów głęboko i uczciwie rozumie...".

I przyznaję się do tej nieoficjalnej (może nietaktownej?) słabości, że wobec tego, co usłyszałem, zacząłem chwilowo... marzyć. Zapewne ciężki występek, gdyż „realnemu" politykowi marzyć nie wolno! On przecież musi trzymać się tylko „realnych" aktualjów dnia, a więc perypetji sejmowych i partyjnych, wyroków Genewy, krasomówczych kurbetów dyplomatycznych i taktownych, aż nazbyt taktownych, enuncjacji miarodajnych, trzeźwych przedstawicieli sfer gospodarczych. Wszystko, co po za to wychodzi, to nierealne, fantastyczne, naiwne, a w najlepszym razie „muzyka przyszłości", której „realnemu" politykowi nawet słuchać nie wolno.

A jednak, darujcie mi trzeźwo myślący Czytelnicy, że będąc Polakiem, tym niepoprawnym, nieco romantycznym Polakiem, nie mogłem oprzeć się promiennemu zjawisku, jakie wyczarowały w mej wyobraźni słowa szeregu przedstawicieli ludów wschodu, wyciągających ręce do Polski, jako jedynej ich moralnej i politycznej ostoi na świecie. A chociaż działo się to tylko na uroczystej akademji, gdzie uczucia, wygłaszane przez mówców, z reguły występują ad hoc spotęgowane i upiększone, to jednak odpowiednia doza prawdy dziejowej przebijała z nich aż nadto dobitnie. I jako wyznawca „polskiej misji historycznej na wschodzie", wyznawca może (biję się w piersi!) nieco zdawkowy, choć szczery, zrozumiałem teraz dopiero misję tę w całej pełni i w całym realiźmie XX-go wieku!

I jakże karłowatą, jakże marną i efemeryczną wydała mi się na tem tle polityka drobnych, przemijających aktualjów, którą aferują się tak nadmiernie różni nasi „politycy realni“, że w ideologji swej, skrajnie oportunistycznej, dochodzą dzisiaj w końcu aż do koncepcji systemu „des Fortwurstelns“, zaczerpniętego z przebrzmiałych c. k. wiedeńskich ideałów, jako rzekomo najwyższej, ostatecznej, jedynie racjonalnej „polskiej racji stanu“! Niech Szanowny Czytelnik nie posądza mnie przypadkiem o przesadę, gdyż oddaję wiernie i dosłownie szczerą, realną prawdę!

Ale wracając do tematu, wyobraźnia moja, zapędziwszy się na owej akademji w ślad za polską misją dziejową w dalekie góry i stepy wschodu, wróciła wnet na grunt rodzimy i skrystalizowała się tu w wielce kłopotliwem pytaniu: Czy Polska, ze swą obecną psychiką, gospodarką i faktyczną siłą realną, będzie w stanie podołać misji tak olbrzymiej? Czy będzie w stanie przyczynić się naprawdę do stopniowej realizacji — w odpowiednich, korzystnych okazjach — pragnień uciemiężonych ludów wschodu, czy też skończy się tylko na „gorących sercach“ i „dodawaniu otuchy“? Czy naiwnie demokratyczne doktrynerstwo wraz z wyznawanym przez wielu systemem „des Fortwurstelns“ podniosą naród nasz na wysokość zadania misji wschodniej?

Bo do spełnienia wielkich rzeczy potrzeba było zawsze, a potrzeba najbardziej w XX-ym wieku, nietylko wzniosłych myśli i rycerskości i braterskich uścisków i łez rozczulenia, ale także realnej siły, przewidującej polityki, no i... pieniędzy! Otóż, wśród obecnych czynników rządzących w Polsce nie brak umysłów szerszych, politycznie rozumnie myślących i trafnie przewidujących. Ale czy mamy pieniądze i czy rozwój nasz gospodarczy i *ustrój gospodarczy* zmierza istotnie w kierunku zdobycia pieniędzy, bez których niemasz ani racjonalnej polityki wewnętrznej, ani tem mniej „misji historycznej“?

W tym punkcie wyobraźnia moja, przebiegiem zebra-

nia chwilowo podniesiona, opadła na ziemię i zaryła się rozpaczliwie w chaosie niezmienionych dotąd energicznie ustaw fiskalnych, socjalnych i innych beznadziejnych hamulców polityczno-gospodarczych...

Jakkolwiekbądź — sprawa ukraińska musi być w Polsce załatwiona. Wymaga tego najoczywistszy postulat wewnętrznego spokoju w państwie i sparaliżowania wrogiej nam propagandy zagranicznej. Musimy zdać sobie sprawę, że dalsze przeciąganie rozwiązania tego problemu ułatwia naszym wrogom i wszelakim żywiołom wywrotowym, zwłaszcza bolszewickim, opieranie się na niezadowolonym żywiole ukraińskim i rozbudowywanie w nim — nawet mimo woli ukraińskiego ogółu — wygodnej bramy wypadowej przeciw Polsce.

Otóż, jak najrychlejszego zlikwidowania tej bramy wypadowej powinni pragnąć w równej mierze Polacy i Ukraińcy, gdyż nie ulega chyba wątpliwości, iż żerowanie pruskiej i moskiewskiej konspiracji na ukraińskim fermencie w Małopolsce Wschodniej jest równie zabójczem dla państwa polskiego, jak i dla ukraińskiej idei narodowej. Ale chodzi przedewszystkiem o to, jak na razie sprawę ugody polsko-ukraińskiej racjonalnie zapoczątkować?

Spędziłem niedawno czas dłuższy w Małopolsce Wschodniej i miałem sposobność zetknąć się z różnymi przedstawicielami przeciętnego, umiarkowanego ogółu inteligencji ukraińskiej. Nie ze sztandarowymi politykami, bo od tych, motanych różnymi względami i namiętnościami czy doktrynami, rzadko kiedy szczere, objektywne można usłyszeć zdanie. Ale ja właśnie miałem sposobność rozmawiać z niepolitykującymi ludźmi na neutralnym, czysto towarzyskim terenie letniskowym. A raczej — więcej słuchałem, niż rozmawiałem, starając się wyczuć z ich słów, przygodnie rzucanych, rzeczywistą linję wypadkową ich dążeń i postulatów.

W ten sposób dowiedziałem się paru ciekawych rzeczy.

Przedewszystkiem przeciętny ogół pracującej (nie politykującej!) inteligencji ukraińskiej pragnie w pierwszym rzędzie — spokoju. Chce żyć spokojnie, pracować bez ciągłych wstrząśnień zewnętrznych i... zarabiać. Ma dość rozwichrzonej polityki, nacjonalistycznych haseł i porywów, dość konspiracji, ultrapatrjotycznych zamachów i tarć z polskiem społeczeństwem. A przedewszystkiem ma dość radykalizmu i gwałtem narzucanych nadmiernych dobrodziejstw społecznych oraz przygniatających ciężarów fiskalnych. W tym względzie możemy sobie odrazu podać ręce, bez dyskusji!

— Uspokójcie naszą rozpolitykowaną młodzież, weźcie ją silniej w garść, skoro macie władzę w państwie! — oto zgodna nuta pracującej, a nie politykującej, ukraińskiej inteligencji. A z tem życzeniem łączy się zaraz drugie: przeciętna, spokojna inteligencja ukraińska, a w znacznej mierze zapewne i chłopi, o ile nie są chwilowo jakąś agitacją podnieceni, mają dość kłopotu z polityczno-społecznym radykalizmem i demagogją we własnych szeregach i nie życzą sobie wcale mieć do czynienia z takimż radykalizmem i demagogją z polskiej strony. Po długich a ciężkich doświadczeniach obawia się dzisiaj spokojny Ukrainiec wszelkich naszych Witosów, Brylów, Waleronów, Daszyńskich, Thuguttów i różnych innych demagogów, narówni z własnymi radykałami. Dość mają ciągłych walk i czasowych, wielce efemerycznych „porozumień“ między rozpolitykowaną demokracją, a raczej demagogją, we własnem i polskiem społeczeństwie. Boją się własnych radykałów, zdolnych do wszystkiego, a nie mają żadnego zaufania i do polskiej „demokracji“, która usiłuje ich znęcić do ugody kwestją socjalną. A tej właśnie kwestji socjalnej dość mają już spokojni Ukraińcy, twierdząc słusznie, że ona ich sprawę narodową i problem zgodnego współżycia z polskiem społeczeństwem całkiem niepotrzebnie komplikuje i rozjątrza.

Całkiem słusznie, bo tej rowydrzonej polityki socjal-

nej mamy dość już i my, spokojnie pracujący Polacy! I u nas ona komplikuje niesłychanie każde zamierzenie naprawy stosunków.

Z tego wynika, że źle się dzieje, jeżeli w usiłowaniach ugody z Ukraińcami zasiadają przy zielonym stole z jednej strony społecznie radykalni polscy politycy, z drugiej zaproszeni przez nich do rokowań rozpolitykowani, a więc i nieprzejednani ruscy radykałowie takich czy innych odcieni. Jedni i drudzy sypią sobie wzajemnie „demokratycznym" piaskiem w oczy i dlatego nie mogą dojść do porozumienia i nigdy do niego nie dojdą.

Z tego wszystkiego pozwalam sobie wyciągnąć wniosek, że przeciętny, uczciwy i spokojnie pracujący ogół społeczeństwa ukraińskiego nie chce mieć do czynienia z naszej strony ani z nazbyt sztandarowymi politykami, ani ze społecznymi radykałami, ani wogóle z przedstawicielami, których mógłby posądzać, że na ugodzie polsko-ukraińskiej „chcą zrobić karjerę". Ze swej strony nie chce również rzeczników w typie radykałów lub wogóle „politykierów". I dlatego wypowiedziane kiedyś przez jednego z naszych parlamentarzystów twierdzenie, że ugodę polsko-ukraińską przeprowadzić mogą tylko firmowi politycy, tylko posłowie czy senatorowie obu narodowości, a co myśli reszta społeczeństwa polskiego i ukraińskiego, to nie wchodzi w rachubę — takie twierdzenie wydaje mi się stanowczo mylnem i, przepraszam najmocniej owego, zresztą wybitnego parlamentarzystę, nieco zbyt zarozumiałem!

O ile natomiast mogłem wymiarkować, Ukraińcy pragną mieć do czynienia 1) z Polakami tout court, bez żadnych socjalno - politycznych dodatków tak, aby z jednej strony reprezentowana była przy zielonym stole polska, z drugiej zaś ukraińska idea narodowa i nic więcej; 2) z ludźmi o przekonaniach umiarkowanych, osobiście mniej więcej niezależnymi i przez to dającymi im pewne moralne gwarancje bezstronności i objektywizmu. Śmiem nawet pójść nieco dalej i stwierdzić, że ogół ukraiński wię-

cej ma zaufania do konserwatystów polskich, niż do innych odłamów naszej myśli politycznej, oczywiście za wyjątkiem tych konserwatystów, którzy wszelką politykę wewnętrzną i zagraniczną traktują wyłącznie z punktu widzenia swoich stert i folwarków. Pod tym względem wolą mieć Ukraińcy do czynienia z konsewatystą „integralnym", który powie im objektywne, choć twarde słowa prawdy, niż z konserwatystą „folwarcznym", który ze strachu o swoje sterty prawi im o jakiemś sielankowem, braterskiem współżyciu „synów wspólnej matki" za wszelką cenę. Stanowczo wolą Ukraińcy Polaków, którzy po męsku stawiają im realne warunki współpracy, imponując poczuciem własnej siły, a zarazem przedstawiając właśnie przez to rękojmię swej słowności.

Należy więc wysunąć z polskiej strony odpowiednich ludzi, którzy indywidualnie cechy te posiadają, a równocześnie dopomóc Ukraińcom do stworzenia w ich szeregach stronnictwa lub przynajmniej ruchu o charakterze konserwatywnym, przynajmniej w pewnem, ogólnem tego słowa znaczeniu. Nie brak wśród d z i s i e j s z e j inteligencji ukraińskiej ludzi, w każdym razie już spokojnych i społeczno-politycznie już dość zrównoważonych. Ale żywioły te, z natury rzeczy osobiście skromne, nie wysuwające się naprzód, nie narzucające się z hałaśliwą reklamą, giną dotąd w chaosie rozpolitykowania i konspiracji żywiołów radykalnych, wspomaganych mimowoli przez chłopski czy inteligencki radykalizm społeczny z polskiej strony. Tym spokojnym żywiołom trzeba dopomóc do własnych organizacji, wzmocnienia i dojścia do głosu, usuwając krzykliwych politykierów i radykałów z jednej i drugiej strony.

A wówczas jestem przekonany, że przy celowem a życzliwem poparciu takiej akcji ze strony rządu polskiego kwestja ugody polsko-ukraińskiej wejdzie nareszcie na realne tory.

W końcu jeszcze drobna, ale ważna uwaga: nie trzeba fabrykować ukraińskich i wogóle ruskich mniejszości,

szkół i instytucji tam, gdzie — niema wcale Ukraińców czy Rusinów! Aż tak bowiem daleko zagalopowana ugodowość nietylko do niczego nie prowadzi, ale stwarza bez żadnej potrzeby, a z wielką dla państwa szkodą, jątrzące się wrzody tam, gdzie ich wcale nie było.

A na taką politykę chorują wprost niektóre czynniki w Polsce. Znam wypadki, że w ukrainofilskim zapale ukrainizowano z polskiej strony polską szkołę w miejscowości, zamieszkałej prawie w 100% przez polską ludność, tylko dlatego, że dana miejscowość leży w jednem z województw kresowych, zamieszkałem w innych okolicach także przez ludność ukraińską czy białoruską. Oczywiście, że taka polityka przymusowej ukrainizacji polskich dzieci niema żadnego sensu. A nadto, sprowadzony w takich warunkach ad hoc nauczyciel, radykał - ukrainiec, albo nawet cichy stronnik komunistycznego Selrobu, uważa za główne swe zadanie rozpoczęcie w całej okolicy akcji wywrotowej.

Z jednej więc strony chcemy kołysać Ukraińców pastorałkami o sielankowem współżyciu chaty z folwarkiem, z drugiej popieramy lekkomyślnie radykalizm ruski, co w końcu doprowadzić musi do policyjnych, czy nawet wojskowych represji. Obierzmy więc raz wreszcie złotą, pośrednią, a s t a n o w c z ą drogę!

Jan Bobrzyński.

POLSKA MUROWANA CZY DREWNIANA?

W szeregu artykułów na temat skutków nadprodukcji, niszczącej gospodarstwo światowe oraz konieczności zahamowania jej rozpędu i wprowadzenia pewnej redukcji i niejako prymitywizacji w metodach pracy gospodarczej, uzasadnialiśmy w tem piśmie ten jeden z dwóch głównych warunków, jakie uważamy za niezbędne do stopniowego załagodzenia kryzysu. Drugim warunkiem, który również poruszaliśmy niejednokrotnie z całym naciskiem, jest usunięcie z życia publicznego różnych, nazbyt wybujałych dogmatów demokratycznych, jako hamulca, który niemożliwia wszelką racjonalną myśl o państwie i unicestwia zgóry wszelkie rozumne zamierzenia gospodarcze.

Gdyby te dwa warunki — odamerykanizowanie metod produkcji oraz odradykalizowanie ustroju państwowego — weszły w życie, to nie zniknęłyby wprawdzie przez to odrazu wszystkie trapiące nas niedomagania gospodarcze, ale w każdym razie usunięte zostałyby przynajmniej walne zapory, z któremi borykają się dotąd napróżno rządy, politycy, ekonomiści, organizacje gospodarcze i parlamenty (te ostatnie oczywiście, o ile chcą naprawdę szczerze działać). Możnaby wówczas dopiero pomyśleć o prawdziwej sanacji gospodarczej i zrealizować jakiekolwiek skuteczne w tym względzie projekty.

Pomijając na tem miejscu dostatecznie już chyba przez nas poprzednio omówione destrukcyjne wpływy doktrynerstwa demokratycznego na życie gospodarcze, zatrzymamy się tylko raz jeszcze nad kwestją niemniej szkodliwej tendencji do nadprodukcji i amerykanizacji, gdyż sprawa ta doznała nowego, a bardzo miarodajnego dla Polski oświetlenia i potwierdzenia w mowie p. premiera Prystora, wy-

głoszonej w lipcu b. r. na jednem z zebrań klubu poselskiego Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem.

Przemówienie to było poświęcone sytuacji gospodarczej państwa wogóle, ale podkreślamy tu z niego tylko te ustępy, które w krótkich słowach zawierają w sobie pewien szczególnie aktualny program, a raczej pewien zasadniczy kierunek programowy, zupełnie zgodny z propagowaną przez nas oddawna tezą: ograniczenia nadmiernego w obecnych warunkach rozmachu produkcji i „pociągnięcia grobli według stawu".

„Nie mamy zamiaru — oświadczył m. in. pan premier — tkwić w tradycji lat ubiegłych, według których Polska koniecznie musi być murowaną, a obok tego posiadać dziesiątki tysięcy ludzi, gnieżdżących się po norach i barakach. Rząd stoi na stanowisku, że należy według stawu groblę grodzić. Jeżeli nie stać nas w okresie obecnym na odpowiednią ilość domów murowanych, będziemy budowali domy drewniane..."

„...Redukujemy cały szereg urzędów i urzędników, ale mamy prawo oczekiwać, że i sfery gospodarcze zlikwidują swoje niepotrzebne instytucje. W dobie obecnej życie gospodarcze winno się koncentrować, zespalać i zcalać oraz likwidować niepotrzebne ogniwa pośredniczące, nadbudówki, reprezentacje zawodowe i t. d."

Słowa te ani nas nie dziwią, ani nie były dla nas niespodzianką. Wszak „Nasza Przyszłość" bada życie, idzie z życiem i opiera się na życiu. Nic więc dziwnego, że kierownik rządu, obarczony odpowiedzialnością realnego ujmowania zagadnień, wyciągnął z praktycznej obserwacji życia identyczne wnioski. Uznajemy tylko za rzecz wielce doniosłą, że zechciał je tak jasno i lapidarnie sformułować. Odnosiły się te słowa, ściśle biorąc, wprawdzie tylko do systemu naszej akcji budowlanej, ale z równą słusznością można je zastosować i do wszystkich innych gałęzi gospodarstwa krajowego.

Jeżeli nas chwilowo nie stać na coś, to trzeba odpo-

wiednio ograniczyć nasze pretensje — oto kwintesencja programu gospodarczego p. premiera. Stoi ona w słusznem, aczkolwiek jaskrawem przeciwieństwie do pretensji wielu sfer gospodarczych, które, mimo powszechnego krachu i znamiennej powodzi bankructw w Polsce i na całym świecie, obstają z uporem przy rozmachu przedwojennym swych przedsiębiorstw i swej produkcji, wojując jałowymi frazesami o „podkonsumcji" czy „niedokomsumcji", a słyszeć nie chcą o jakiejś rozumnej—w istocie nieuchronnej—redukcji wielu warsztatów gospodarczych, które w obecnych warunkach nie mają ani możliwości zbytu, ani rentowności, ani wogóle racji bytu w dotychczasowych rozmiarach, a natomiast wysysają tylko bezpłodnie możliwości kredytowe państwa i produkują coraz większą tandetę.

P. premier ujął rzecz z wysokiego punktu widzenia, stawiając pytanie, czy Polska w obecnych — miejmy nadzieję chwilowych tylko warunkach — musi być koniecznie, à outrance, w dalszym ciągu rozmurowywaną? Myśmy już dawniej stawiali to pytanie w węższem zastosowaniu obrazowem, wziętem z codziennego życia miejskiego: Czy koniecznie, nawet gdy nas na to nie stać, musimy chodzić po asfalcie, zamiast po zwykłym bruku?

Zapewne, milejby nam było prowadzić dalej dzieło Kazimierza Wielkiego i murować Polskę z kamienia, z dodatkiem modnego żelbetonu! Milejby też nam było sunąć luksusowem autem po asfalcie, założonym zwłaszcza z „rezerw kasowych magistratu warszawskiego"!! A jakże dumnie podnosilibyśmy głowę, gdyby nasza produkcja — jak przed wojną — szła masowo na olbrzymie rynki wschodu, a wielka flota handlowa rozwoziła ją po całej kuli ziemskiej za brzęczące dolary!

Ale to niestety utopja. A tą właśnie utopją, tą pretensją, żyją różne nasze sfery gospodarcze, stojące na stanowisku, że trzeba wszelkiemi siłami i za wszelką cenę (za wszelką!) utrzymać wszystkie bez wyjątku fabryki, banki i inne warsztaty na przedwojennym poziomie, a nawet po-

większać je i amerykanizować produkcję. Niech świat się cały zawali, ale to być musi! A jeżeli ten brzydki świat, zubożały wojną światową i kompletnym wywrotem stosunków, nie jest w stanie dostosować swej siły konsumcyjnej do tych pretensji, to oczywiście świat winien i krzywda się dzieje nadprodukcji. Bo przecież, jeżeli np. w r. 1900 na ziemiach polskich była produkcja x, a w r. 1913 powiększyła się na x + y, to w r. 1931 powinna była wzróść do x + y + z. To przecież tak jasne, proste, bezsporne — nieprawdaż?

Niestety, tak nie jest. Matematyka kupiecka stanowczo tu zawodzi. Bo siła kosumcyjna społeczeństwa, która w latach 1900 i 1913 rosła w równowadze z produkcją, spadła w r. 1931 do x + y — z, a to z, ten ubytek, jest bardzo znaczny. Wiedzą o nim doskonale wszyscy producenci i kupcy, ale dotąd nie wszędzie jeszcze widać, żeby go dobrowolnie, planowo brali w rachubę i wyciągali z tego praktyczne konsekwencje. Przeciwnie, myślą ciągle tylko o „racjonalizacji" rozpędu swych przedsiębiorstw i warsztatów i wprost już zabawnych chwytają się środków, aby rujnujący nadmiar swej produkcji przecież ludziom narzucić.

Oto przykład, jeden z wielu — ale tym razem naprawdę już mocny.

Wiemy wszyscy doskonale, że nazbyt wiele mamy w Polsce cukrowni i że połowa ich produkcji jest za bezcen sprzedawana od lat zagranicę, czego nie można chyba zapisać na dodatniej stronie naszego bilansu. Wiemy również, że niedawno z poważnych sfer cukrowniczych odezwał się w sejmie głos, iż jednak należy w danych warunkach plantacje buraków nieco ograniczyć (o redukcji przemysłu cukrowniczego nie miał jeszcze odwagi ten głos wspomnieć). Wiemy wreszcie, że ostatnia konferencja cukrowa w Brukseli wypowiedziała się otwarcie za pewną redukcją przemysłu buraczanego, gdyż nie jest on w stanie sprostać trzcinie cukrowej i w tych rozmiarach, w jakich

jest forsowany, staje się w każdem państwie nazbyt kosztowną naroślą.

Jakże zareagowano w Polsce na te wszystkie rozsądne zalecenia? Wie o tem każdy, kto po trudach i znojach denerwującej pracy w mieście zapragnął odetchnąć na chwilę świeżem powietrzem i wybrał się w podróż.

Uczynił to oczywiście i autor niniejszego artykułu, ale ilekroć pociąg mijał jakąś stację i podróżny chciał odczytać jej nazwę, to wpadał mu w oczy przedewszystkiem olbrzymi napis reklamowy: „Cukier krzepi". Nad ranem pociąg gdzieś stanął. Wyglądam przez okno, gdzie stoimy, ale nazwy stacji, spowitej w bluszcze i powoje, dojrzeć nie mogę, a natomiast bije w same oczy olbrzymi, jaskrawy napis: „Cukier krzepi". I tak od Warszawy po brzegi sinego Bałtyku i po niebotyczne Karpaty.

Nie mogę na razie skonstatować, o ile zwiększyła się w Polsce konsumcja cukru taką reklamą, ale wiem tylko tyle, że na jej natarczywy widok pasja tylko zbiera i z pewnością nikt przez to ani jednej dodatkowej łyżeczki cukru do swej herbaty nie włoży. Bo konsumcję cukru propaguje się skutecznie nie napisami, ale podniesieniem stopy życiowej i znaczną zniżką ceny. Gdy zaś ani jedno, ani drugie nie jest na razie możliwe, to szkoda zaiste naprzykszać się konsumentowi zabawną reklamą, która w dzisiejszych, specyficznych warunkach i wybujałej pohopności do krytycyzmu, nietylko cukru nie propaguje, ale nawet budzi niepotrzebnie jakieś „nietaktowne" myśli o olbrzymich pensjach i tantjemach dyrektorów i prezesów cukrowni. Możeby więc lepiej w czasach katastrofalnego bezrobocia nie reklamować się w sposób tak niebezpieczny?!

I to samo powiedzieć można pod adresem ogółu naszego przemysłu i rolnictwa. Wzmożenie zbytu, a przez to i utrzymanie warsztatów gospodarczych na wysokim ilościowo poziomie da się przeforsować tylko wówczas, gdy propaganda zbytu ma do czynienia jedynie z niedorozwiniętym, prymitywnym, ale zamożnym rynkiem; gdy cho-

dzi tylko o to, aby w społeczeństwie, stosunkowo prymitywnem, zwiększyć konsumcję mydła, cukru, różnych maszyn i t. p. Tam jednak, gdzie zbyt jest zahamowany przedewszystkiem brakiem pieniądza nawet wśród warstw najkulturalniejszych, forsowanie produkcji i amerykanizacji pracy potęguje tylko kryzys i bezrobocie.

Zarówno więc zapobiegliwy producent, jak i prawdziwy patrjota muszą sobie powiedzieć w danych warunkach, że, aby módz kiedyś przystąpić do budowy Polski murowanej, winni na razie zadowolić się podtrzymaniem Polski drewnianej. Inaczej bowiem nietylko nie doprowadzą do pierwszego, ale zrujnują i drugie.

Żąda się od rządu i samorządów oszczędności. Różne gazety uważają sobie za t. zw. „obowiązek dziennikarski" piorunować przeciw rozrzutnej gospodarce rozmaitych instytucji oficjalnych. Prawią z patosem, że skoro dobrobyt ekonomiczny świata znajduje się na razie (i może na długi czas jeszcze) na linji spadkowej z całego szeregu przyczyn wojennych i powojennych, to rządy, urzędy, magistraty etc. winny także iść po linji wszelkich możliwych oszczędności i redukcji. W przeciwnym razie prorokują „ogólne załamanie gospodarcze" w państwie.

Słusznie! Ale dlaczego nie prawią tego chórem i z podobnym naciskiem także i sferom gospodarczym? Dlaczego nie tłomaczą producentowi, że jeżeli przed wojną posiadał 5.000 robotników w swej fabryce, eksportującej do Persji, Władywostoku i Australji i osiągnął z łatwością kilkanaście miljonów obrotu tandetnym towarem, to dzisiaj, w kompletnie zmienionych warunkach, musi się zadowolić liczbą 500 robotników, a za to dawać towar pierwszorzędnej jakości, zdolny naprawdę do wybicia się na rynku krajowej lub europejskiej konkurencji? Bo naprawdę pierwszorzędny towar, produkowany

w miarę faktycznej potrzeby, zawsze znajdzie zbyt korzystny. A wypośrodkowanie rozmiarów każdorocznego zapotrzebowania rynku jest oczywiście już tylko kwestją doświadczenia i zmysłu kupieckiego producenta. I do tego dostosować musi zarówno rozmiar swej produkcji i fabryki, jak i swe osobiste pretensje i stopę życiową. Jeśli okaże się, że nie stać go, jak dawniej, na wystawne życie, kosztowne wyjazdy zagranicę i automobil pierwszej marki, to niech je sztukę mięsa i chodzi piechotą. Z pewnością więcej tem zaimponuje swej konkurencji i zbiedzonemu społeczeństwu, niż blichtrem dawnego zbytku, pod którym — wie o tem każdy — kryją się stosy protestowanych weksli. A najbardziej zaimponuje przestawieniem swej fabryki na rzeczywiście pierwszorzędny towar, choćby w dziesięciokrotnie zmniejszonej ilości, ale tak, aby marka „made in Poland" zdobyła sobie respekt w różnych dziedzinach na rynku światowym!

Ghandi wydał walkę przemysłowi angielskiemu pod hasłem „powrotu do kołowrotka", oczywiście w pewnem, obrazowem tego słowa znaczeniu. Wyczuł trafnie, w czem leży przygniatająca rozwój gospodarczy i kulturalny Indji przewaga angielska: właśnie w tej nieszczęsnej machinie przędzalniczej, w tej „spinning Jenny", rozrośniętej dziś do rozmiarów monstrualnych, tej prababki socjalizmu, bolszewizmu i wszelkich nowoczesnych rewolucji. I my też powinniśmy zrozumieć doniosłość tego hasła i w odpowiednim stopniu u nas je zastosować. Zerwijmy z narzucaną nam sugestją nienasyconych hiperproducentów i amerykanizatorów wszelkiego rodzaju! Odrzućmy wszelką masową tandetę, poczynając od „taniego obuwia", które w kilkoletnim budżecie okazuje się znacznie droższem, niż wyborowe, aż do groszowej książki i gazety, kompromitującej tylko postęp kulturalny i poprostu godność ludzką obywatela! Zastosujmy zaś przedewszystkiem wielką oszczędność w pomocy finansowej i kredytowej dla podtrzymania nadmiernego, nieżyciowego, a rujnującego kraj przerostu

produkcji i to — powtarzam z naciskiem — przeważnie tandetnej produkcji!

To jedyny sposób stopniowego wyjścia z kryzysu, przy równoczesnej gruntownej reformie ustawodawstwa, dotyczącego generalnego naruszenia własności prywatnej i nadmiernych świadczeń publicznych. Widzimy przecież już, jak na dłoni, że zarówno skomplikowana frazeologja naukowej wiedzy ekonomicznej, jak i wszelkie dorywcze ratunkowe paljatywy rządu, czy mgliste zalecenia i półśrodki różnych instytucji międzynarodowych kapitulują de facto wobec rzeczywistości. I kapitulować będą tak długo, dopóki świat gospodarczy nie zrozumie, że jak po przejedzeniu konieczną jest djeta, aby żołądek powrócił do równowagi, tak i po wieloletniej, bezkrytycznej, zachłannej hipertrofji produkcji i hiperindustrjalizacji, stworzonej notabene na paradoksalnem podłożu zakostniałego demagogicznego doktrynerstwa, którego karykaturalnym wykwitem jest bolszewizm, niezbędnem jest — pod groźbą istotnie kolosalnej katastrofy gospodarczej i społecznych wywrotów — ścisłe dostosowanie rozmiaru, rozmachu i metod produkcji do faktycznych możliwości zbytu.

A jeśliby kto zarzucił, że przez to miljony stracą pracę i zarobki, to odpowiemy wręcz, że to tylko wygodny frazes obrońców nadprodukcyjnego, fabrycznego rozmachu. Bo przy stopniowem przestawieniu fabryk w kierunku redukcji ilości, a podniesienia jakości towaru i przy rozumnem a nieuchronnem zlikwidowaniu całkiem zbędnych i nieżywotnych fabrycznych warsztatów podniosą się znowu rzemiosła, w których znajdą pracę rzesze bezrobotne i to na warunkach materjalnie i moralnie lepszych, niż w olbrzymiej machinie wielkoprzemysłowej o mocno już zardzewiałym mechaniźmie, który grozi każdej chwili wyrzuceniem na bruk swych niewolników i faktycznie ich wyrzuca.

Słusznie też oświadczył Briand w swem świetnem

przemówieniu na ostatniem, wrześniowem zebraniu Ligi Narodów:

„Kryzys jest przedewszystkiem smutną konsekwencją wojny światowej, a następnie wynikiem e g o i s t y c z n e g o s z a ł u n a d p r o d u k c j i, w jaki wpadły po wojnie wszystkie prawie narody“.

A więc: egoistyczny szał nadprodukcji! Dopóki nasze sfery gospodarcze tej oczywistej prawdy nie zrozumieją i do niej się nie zastosują, to szkoda zaiste każdej złotówki kredytu na beznadziejne podtrzymywanie nadmiernie rozbudowanego i nadmiernie zamerykanizowanego gmachu, którego rację bytu podcina z dnia na dzień ewolucja dziejowa.

„Stańczyk“.

WRAŻENIA Z WYSTAWY KOLONJALNEJ W PARYŻU.

Jadąc z centrum Paryża ku wystawie kolonjalnej, wzdłuż wszystkich bulwarów i placów, począwszy już od rue Royale, widnieją coraz to gęściej rozwieszone, coraz to zwarciej rozstawione, jakieś olbrzymie transparenty, słupy, girlandy, dziwaczne tarcze i emblematy — wyglądające w dzień może trochę jarmarcznie „festynowo“, teatralnie, ale jarzące się w nocy miljardami różnobarwnych lampek i robiące wrażenie istnych „rzek światła“.

Paryż w gruzach i przebudowach, burzone są całe kwartały, a na ich miejsce wznoszą się nowe gmachy, szeroko rozkładają się nowe ulice, bulwary, place — tak, iż wśród tych wszystkich przebudówek niemal niespodzianie, nagle, ukazuje się naszym oczom główny wjazd do Wystawy. Szeregi białych słupów, łamane linje jakichś ścian i przymurków, skwery, dziesiątki wodotrysków i znów słupy olbrzymie, jakoweś niedokończone w rozmachu płaszczyzny, załamy bez zrozumiałej myśli, bez widomego celu, ale tak potężne w swej mnogości i mocy, że robią wrażenie gorączkowych majaczeń tytana.

Styl nowoczesny! Owo „coś“, co chce być „czemś“, a w rzeczywistości jest niczem.

Zaraz na prawo od wejścia gmach olbrzymi, słusznie nazwany „La cité“ — miasto — des Informations; bo to ani pałac, ani hala, ani nawet building, ale coś, co bezcelowymi, gigantycznymi schodami superstruktur tworzy jakoby kolosalną kopułę; w rzeczywistości wielopiętrowy dom handlowy z restauracjami, kawiarniami, dancingami, wewnętrzną olbrzymią halą o przepysznej marmurowej posadzce, nowoczesnej mozajce bezładu kolorowych płaszczyzn. Dokoła tej hali rozsiadły się biura towarzystw

transportowych i emigracyjnych, na ścianach mienią się świetlistymi punktami mapy krain zamorskich, błyszczą linje najwygodniejszych komunikacji, mrowią się kolumny cyfr statystycznych.

Gmach po obu stronach opada w zniżających się kolumnadach i pergolach, obejmując niemi dwa skwery, na których wznoszą się z bronzu, marmuru i drzew południowych odrobione posągi dzikich zwierząt oraz bardzo oryginalne fontanny. Jedna z nich, to coś w rodzaju wodnej palmy, druga, jakby dziesiątek barek rzecznych, spiętrzyła się w jednym podłużnym kierunku, tryskając na wsze strony potokami wody. Szeroka na jakie pięć metrów, długa na pięćdziesiąt, stanowi znowu wyłom w tem wszystkiem, cośmy sobie dotąd o fontannach wystawiali.

Może trochę oszołomieni, ale bynajmniej nie zachwyceni, opuszczamy pospiesznie owe zbyt „europejskie" strony i stajemy wobec istnego labiryntu alei, ulic i ścieżek, które cały lasek Vincennes zamieniły na jedno wielkie klepisko. Tu jednak musimy zaznaczyć, iż prawdziwi europejczycy znacznie lepiej obchodzą się z drzewami i wszelką roślinnością, aniżeli nasi, nawet najbardziej uczeni i magistratcy autochtoni!

W całym lasku Vincennes dla umieszczenia tych setek gmachów i pawilonów, przeprowadzenie kolejek, szos, wodociągów, elektryczności, kanałów etc. etc., wycięto zaledwie 156 drzew! Wyraźnie powtarzamy: sto pięćdziesiąt sześć! Nie widzimy tam ani jednego drzewa okaleczonego, z obdartą kołami korą, połamanemi gałęziami. Wszędzie tam, gdzie coś może drzewom szkodzić, są one ochraniane istnymi pancerzami z blachy lub desek, naśladującymi formą i kolorem sam pień, tak, by nie razić wzroku. Widzimy nawet taki obrazek: obok restauracji Bagdad'u, wznosi się jakiś duży pawilon w stylu indyjskim, którego wejścia strzegą dwa ogromne słonie; ale ponieważ rósł tam 30-letni świerczek, więc... pień jego przechodzi przez sam środek głowy jednego ze słoni, nie psując przeto wcale ogólnego

widoku na całość budowli. Za sześć miesięcy z pawilonu nie pozostanie ani śladu, a świerczek będzie rósł dalej, dawał cień i odświeżał powietrze!

Nie chcemy sobie nawet wystawić, jakby to wyglądał np. park Łazienek, gdyby tak w nim nasi opiekunowie tylko malutką wystawę umieścili — coś w rodzaju pustyni Gobi z błotami Polesia łącznie! No tak, ale tego rodzaju myślenia nikt sztucznie i siłą z głów nawet „najznakomitszych" dygnitarzy miejskich nie wybije, bo na to, prócz wielkiej wiedzy i techniki, trzeba jeszcze mieć szczyptę kultury!

Wracając do wystawy, nie dziwne to wcale, że wielu ludzi, zwłaszcza ze wschodniej części Europy, uważa wystawę kolonjalną za „słabą", bezwartościową, tylko dekoracyjną lub „jarmarczną". Wystawa robi istotnie to wrażenie na pierwszy rzut oka i człowiek, umiejący ważyć mniej głęboko fakty czy wypadki, człowiek, szukający natychmiastowego utylitaryzmu, człowiek, pozytywistycznie nastrojony, inaczej, jak powierzchownie, wystawy nie oceni. Powinno mu zresztą i to wystarczyć, bo takiego przepychu artyzmu, takiego bogactwa linji, świateł, kolorów, takiej uczty dla oka, napewno ani na Krakowskiem Przedmieściu, ani nawet w Gdyni nie zobaczy...

Na pierwszy więc rzut oka mamy wrażenie, iż wchodzimy na jakiś olbrzymi jarmark, gdzie dużo miejsca zajmują t. zw. Luna Parki (jest ich i to pierwszorzędnych 2 czy 3 na Wystawie), a reszta — kramiki, sprzedające nie dosyć „wschodnie" perfumy, cukierki, dywaniki, drobiazgi bezwartościowe i mało używane, oraz restauracje, winiarnie, piwiarnie, bary, kawiarnie i kawiarenki, a przedewszystkiem t. zw. „mastroquet'y", czyli, wulgarnie się wyrażając, szynki i knajpy. Możnaby myśleć, że ponieważ tyle tam sprzedaje się wszędzie alkoholu, więc wystawa, którą do 15-go lipca zwiedziło już 12 miljonów ludzi (!), jest przepełnioną niezbyt trzeźwą publicznością. Otóż zwiedzaliśmy ją o wszelkich porach dnia i wieczoru, oraz we wszyst-

kich dniach tygodnia i nie spotkaliśmy ani jednego pijanego, a nawet ochoczo podchmielonego człowieka. Mało tam bowiem sarmatów kręci się pośród tych miljonowych rzesz, ludzie się więc bawią, ale nie rozbijają, piją, a nie upijają, a w każdym razie starają się tego swego smutnego stanu nie pokazywać publicznie. Wogóle pod tymi dwoma względami (może znalazłoby się i więcej), to jest niszczenia i kaleczenia drzew, nietylko przez bezmyślną ludność, ale przez same „opiekuńcze" władze komunalne, oraz ilości pijaków, wałęsających się po ulicach, a przepełniających wszelkie miejsca publicznych zabaw, Warszawa prym trzyma wśród stolic — nietylko samej Europy!

Wróćmy jednak wreszcie na Wystawę, która roi się wprost od setek kjosków, pawilonów, najróżnorodniejszych a bardzo malowniczych pagód, chatek kolonjalnych, willi, pałacyków, każdy innego rodzaju, stylu i typu, wedle zwyczajów, czy może już tylko tradycji tysięcznych plemion „kolonizowanego" świata, w których jednak wnętrzu, jak robak, ukryty w kwiecie, pokazują się nam nagle napisy: Van Hutten Cacao, Chocolat Menier, Savon Cadum, Nestle melba, nawet nasze monopole tytoniowe i spirytusowe... (widocznie są to jedyne produkty, które nasza ojczyzna może tym „dzikusom" ofiarować!). Jest tam śliczny staroindyjski pawilon, w którym ukrył się „Flit" na muchy, są kjoski ze specjalnościami na... odciski i jakieś „vin tonique Machin" i bungalow'y, gdzie sprzedają lalki (dla dorosłych pań) lub baloniki dla równie dorosłych panów, ale nad wszystkiem górują co do ilości i różnorodności kawiarnie, piwiarnie (bo cały Paryż jest dziś zalany przez Spaten Bräu wprost z Monachjum!) i „mastroquet'y" bez liku.

Zaraz więc na wstępie zagradza nam drogę ogromny, słomą kryty (jak zresztą 2/3 pawilonów wystawy), wielki „dziki" i „murzyński" gmach, na drzwiach którego lśni się napis: „Ceske Kuchne". Czyżby Benesz chciał wmówić światu, że pragnie konkurować z kuchnią ludożerców? A może to kochani pobratymcy, byle wyłudzić parę groszy,

gotowi przedzierzgnąć się na murzynów? Żart na stronę, ale musimy przyznać, iż reklama czeska i przedsiębiorczość tych ludzi postawiła ich wszędzie, że zajęli oni wszystkie te placówki, które tak łatwo mogliśmy sami obstawić i że z każdym dniem trudniej nam będzie wybijać się na światło dzienne. Nasza propaganda zagraniczna stała i stoi wciąż poniżej zera, a co najgorsze to, że wszystko, co się jako „polonais“ ogłasza, pochodzi wprost z Nalewek!

Dalszą cechą, uderzającą nieprzygotowanego widzą na Wystawie (a mówię tu o zwiedzaniu w dzień), to ta profuzja jakichś dziwacznych przyrządów, słupów, tarcz. Jedne ciągną się długimi szeregami wzdłuż głównej alei Wystawy, jako zwykłe graniaste, około ośmiu metr. wysokie, białe bale, robiące wrażenie zapomnianych części rusztowań; inne znów mają formę wielkich gąsienicowych izolatorów elektrycznych, to znowu jakby okrągłych tarcz dla naklejania ogłoszeń, tamte, całkowicie bez racji bytu, posiadają na końcu słupa niby pęk gipsowych płatków, w gęstwiach drzew i wzdłuż lesistych ścieżek wiszą między pniami jakieś chińskiej formy słomiane daszki, również od wewnątrz gipsem ochlapane... Wszystko to są najnowsze okazy latarń elektrycznych, oświecających Wystawę refleksami ukrytych lamp. Ale o tem potem!

Teraz przyjrzyjmy się prawdziwym pawilonom Wystawy, pawilonom prawdziwej Afryki czy Azji. Mamy więc przedewszystkiem niedaleko wejścia, przy głównej alei; śliczny, elegancki pawilonik Indji francuskich, naprzeciwko, po drugiej stronie, równie „coquet“ pawilon Martyniki, dalej jeszcze parę małych budyneczków pomniejszych wysp i oto dziwny a pociągający pawilon — kościół Misji katolickich, przy którym w najlepszej, powierzchownej zgodzie przytula się mały a oryginalny pawilonik misji protestanckich.

Gmach Misji, to poprostu ogromny, podłużny, bardzo prosty budynek, o dwukośnym spadzistym dachu, otoczony paru przybudówkami i posiadający czworograniastą, prostą

wieżą w nowoczesnym, a tak dla poważniejszych budowli nieodpowiednim stylu. Na szczycie dachu wznosi się statua Matki Boskiej. Cała frontowa ściana i „facjata“ pokryte są dwumetrowej wielkości tablicami białej majoliki z błękitnymi znakami, literami dziwacznych języków, hieroglifami. Robi to wrażenie, jakby wszystkie języki świata chciały tu zamanifestować swą łączność i jest tak w rzeczywistości, bo jest to litanja loretańska, spisana w najważniejszych djalektach „dzikich“ ludów. Zresztą nic nadzwyczajnego, wewnątrz również niewiele: obszerna, pusta sala (kościół bowiem służy dla codziennych rannych mszy świętych, odprawianych dla zebranych tu „dzikusów“), na znacznem wzniesieniu bardzo prosty, niemal polowy ołtarz, po bokach wykresy szkół, szpitali, parafji, ilości wiernych, dalej w przybudówkach małe stoliki, przy których pracują pod kierownictwem sióstr zakonnych małe „kolorowe“ dziwadła; inne stoliki, gdzie rozdają obrazki, zbierają jałmużny, tu „les Pères blancs“, tam Dominikani, Jezuici, a przedewszystkiem Franciszkani i Lazaryści. Schodzimy za ołtarz: na ścianach oszklone witryny, a w nich tu jakieś okrwawione płótno, tam pas zardzewiałych noży, dalej znów „kanga“, czyli „dyby“ chińskie, również poplamione bronzowymi śladami, w innej witrynie stara mata porwana, z dużą, ciemną plamą pośrodku, dalej zwoje papierów. Są to bądź narzędzia tortur, bądź ślady krwi zamordowanych misjonarzy. A dalej większa salka, gdzie znowu roi się od braciszków i sióstr nietylko białych, ale i „kolorowych“, znów parę stolików, skarbonki i broszurki, kolekcje bożków i fetyszów z najrozmaitszych stron i oto wszystko.

Przez szeroko rozwarte drzwi tłoczy się wystawowa publiczność wszelkiego stanu i pokroju, tłum różnorodny i wszechjęzyczny, bezimienny tłum gapiów, przeważnie zblazowany, czasem arogancki lub ze złośliwym, ironicznym uśmiechem; wchodzi ten tłum głośno rozprawiając, śmiejąc się, z kapeluszami, czapkami czy beretami na głowach — wchodzi, a racej wlewa się za tą przewodnią my-

ślą: „Co też tam ciekawego być może?“ I oto dzieje się rzecz dziwna; cichnie powoli gwar rozmów, słychać ledwie szepty, wszystkie bez wyjątku twarze poważnieją, nabierają myśli, już w połowie pawilonu odkrywają się wszystkie głowy i ci sami, tak przed chwilą bezmyślnie rozskoszni ludzie, wychodzą, patrząc nieśmiało na stojących przy skarbonkach braciszków zakonnych, schylają przed nimi głowy w pełnym szacunku ukłonie, jakby pragnąc wytłumaczyć swoje rubaszne lub nawet wyzywające wejście. Ten tak mało efektowny gmach, to właśnie całkiem „międzynarodowy“, bo katolicki pawilon czterech wieków historji Chrystusa wśród „dzikich“. Ludzie „cywilizowani“ wychodzą zeń trochę zawstydzeni i przez chwil parę myśli ich niespokojnie kołaczą serca.

Wychodząc z misji wzrok jest mimowoli pociągnięty olbrzymem-świątynią An-Kor-Vat z Kambodży. Olbrzym i arcydzieło sztuki i piękna zaginionego dziś ludu, hołd, złożony — Bóstwu!

Opisać tę architekturę trudno, jeśli nie niemożliwe, ale uderzają myślącego widza niektóre szczegóły, a wśród nich przedewszystkiem coś, czego dziś nie spotykamy: logika budowniczego, myśl, obejmująca całość koncepcji, myśl, która z płaszczyzn tarasów i krużganków wznosi się ciągle, bez przerwy, ku górze, ku niebu. Inny szczegół, to owo skrupulatne wykończenie najdrobniejszych detali, a jest ich mnogość nieprzeliczona! Wszystkie koronkowej delikatności rzeźby i płaskorzeźby, pokrywające jednolitą szatą całość gmachu, od fundamentów aż do szczytów kopuł, stanowią wprost arcydzieło snycerskiej i rzeźbiarskiej sztuki! Widać, iż tu nic nie robiono „dla oka“, nic nie robiono dla samego człowieka, artyści, budowniczowie, robotnicy zatracali tu całkowicie swoje własne (a tak dziś bezdennie puste i głupie) „ja“, budowali, tworzyli, pracowali dla myśli wyższej, stawiali świątynie dla Bóstwa, a nie dla ludzkości. I to właśnie szczegóły budowy świątyni An-Kor‘u wskazują, iż jest ona wykwitem prawdziwej cywilizacji zaginionego na-

rodu Kmerów, że stanowi, podobnie jak piramidy Egiptu, pomnik ducha ludzkiego z przed 4000 lat.

Patrząc na tę, rzec można „Nieznanego Boga“ świątynię, widzi się całą bezdenną płytkość rozumowań naszych uczonych (zwłaszcza naszych — bo zachód zaczyna szerzej myśleć), którzy wciąż jeszcze wierzą w „ewolucję“ ludzkości od t. zw. „pierwotnych barbarzyńców“ do cywilizacji epoki dzisiejszej! Ewolucja? Może, lecz czy czasem nie w odwrotnym kierunku? Mechanizacja świata nic wspólnego z cywilizacją nie ma, na potwierdzenie czego mamy żywy i „cudowny“ przykład Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, a może wkrótce i Bolszewji!

Czy więc ta ewolucja nie rozkłada ludzkości, nie gangrenuje jej i nie psuje, że powiemy: demokratyzuje — co przecież zawsze równa się obniżeniu do poziomu motłochu — wszystkich tych zasadniczych pierwiastków „pierwotnego“ Objawienia, tych istotnie „pierwotnych“ iskier światła Bożego?

Świątynia An-Kor'u, to rzeczywiście gmach rewolucyjnego piękna, pomnik utrwalonej myśli narodu, który dzisiaj, gdzieś tam daleko, zalany obcymi plemionami, zdegenerowany, drobny, bez żadnych ideałów, ani nawet tradycji, tłoczy się pod ciężkiemi stopami finansowej międzynarodówki, czyli t. zw. imperjalizmu kolonjalnego. Pomnik-świątynia, samotny i opuszczony, pożerany przez tropikalną puszczę, zamieszkały przez przygodnych lokatorów: sępy, stada małp i papug, nietoperze, węże i... bonzów przybysza z Indji, zmarłego kiedyś na niestrawność Buddy — wali się złom za złomem, zapada w nirwanę dżungli.

Ewolucja więc, czy też kręcenie się w zamkniętem kole, a może, jak przypuszczają niektórzy, spirala? Tylko pytanie, czy spirala ku górze?... Świątynia An-Kor-Vat, Piramidy Egiptu, Semiramidy wiszące ogrody, Świątynia Salomona i... to, co się tu widzi, na wstępie, ten „nowoczesny“ styl, owe ściany i słupy, budowle szaleńców czy też ociemniałych?

Wieczorem, stojąc u stóp tej świątyni, skąpanej w czarodziejskiem świetle reflektorów, wolnej o tych godzinach od zwiedzającego ją tłumu, takiej samotnej i tajemniczej wśród tych drzew lasku Vincennes, jak samotną jest tam wśród swej dżungli, zaczynamy powoli rozumieć genezę nowoczesnej architektury!

Nasze bezsensowne (jeśli nie umyślnie zbrodnicze) materjalistyczne szkoły, mechanizujące rzesze i zamieniające na maszynę najdzielniejszego robotnika systemy pracy, całe nasze życie, skupione w jednej myśli: zdobycia majątku lub sławy i użycia ponad wszelką możność, pozbawiły dusze nasze wzroku wewnętrznego, oślepiły je i te ociemniałe dusze błądzą próbnymi ruchami po bezcelowych płaszczyznach, podobnie, jak ślepiec, szukający drogi szerokimi znakami rąk, stara się namacać wyjście. Te gesta ślepca, te odruchy światła pozbawionej, ale szukającej wyjścia duszy, to właśnie owe bezcelowe płaszczyzny, owe „kubizmy“ i „neoprymitywizmy“ i owe nowoczesne i najnowocześniejsze konglomeraty płaszczyzn, bloków, szczelin. Im silniejsze są indywidualności danych budowniczych, im potężniejszy zasadniczy duch narodu, tem i ten „ociemniały rozmach“ jest większym i robi wrażenie czegoś niewysłowionego, co pragnie materjalizm przenieść w dziedzinę ducha, wyłamać się z wymiarów Euklidesa!

Ale mimo wszystko stwierdzić musimy, iż żyjemy w pełni epoki upadku, w epoce skutków demokracji.

Świątynia An-Kor‘u stanowi jakoby i centrum i kulminacyjny punkt Wystawy — wszystkie jej wymiary są ściśle, co do centymetra zachowane według ruin oryginału; aby jednak nie niszczyć lasku, ustawiono ją tak, jak szły dawne aleje i łąki, umieszczono dosłownie wśród drzew, które tu również, jak i tam, w podzwrotnikowej puszczy, wtargnęły ze wszystkich stron do tego gmachu, zdają się chcieć go zakryć, pnąc się konarami ku wieżom. Przed świątynią, jako przedłużenie szeregu zbiegających się schodów, stopni i tarasów, ale już po drugiej stronie głównej arterji wystawy,

rzucono pięciokrotnie zmniejszoną kopję „mostu alei posągów“, który tam, w Cambodży, prowadzi do wrót świątyni.

Aleja ta posiada 200 metr. długości i jakie 30 szerokości, ale czuć, że jest zmniejszoną, że już nie „pasuje“ do świątyni i że jest tylko dekoracyjną sztuką... a jednak? Właśnie tu najwięcej gromadzi się ludzi i jest ona najbardziej podziwianą! Czy dlatego, że tłum spotyka tu znów tę wielką płaszczyznę, za którą tęskni dzisiejszy świat? Czy może dlatego, że tam, w świątyni, trzeba się wciąż piąć w górę, po setkach stromych stopni i że jakby się ludziska nie pchali, zawsze tylko nieliczni będą u góry i zawsze wielki tłum pozostanie u dołu? Nie rozstrzygając zagadnienia, konstatujemy tylko fakt.

Tuż obok świątyni An-Kor-Vat, zbyt blisko nawet, co psuje całokształt widoku dla obu budowli, wznoszą się gmachy grancuskiej Afryki Centralnej pod postacią reprodukcji świątyni fetyszystów oraz kilku pomniejszych pałaców Sudanu i Nigerji.

Budowla dziwaczna, ale nie pozbawiona myśli, ani logiki układu. W pierwszej chwili robi wrażenie jakiegoś olbrzymego zbiegowiska piramid, obelisków, monolitów i... kopców termitrów. Z tego chaosu sterczą ku górze i na wszystkie boki szeregi żerdzi, robiące wrażenie instalacji radjowej, a służące ponoć do odpędzania złych duchów. Całość budowana z suszonej czerwonej gliny: lepianka-kolos!

Przyglądając się bliżej, widzimy, że nietylko kopje obelisków i piramid, ale i wiele innych szczegółów wskazuje nam wyraźnie na wpływy cywilizacji Egiptu z czasów Ramzesa Zdobywcy. Oto np. na samym środku największej świątyni (bo gmachów tam tłoczy się kilkanaście) widzimy basen, w którym leniwie porusza się święty krokodyl i takiż żółw! Fakt ten stoi w odwrotnym stosunku do tego wszystkiego, czego nas tak skwapliwie pouczają mędrcy — znawcy historji religji! Świątynia ta jest bowiem dziełem „fetyszystów“ afrykańskich, więc całkiem pierwotnych lu-

dzi, a nosi ślady religji Egipcjan, więc religji, stojącej o wiele stopni wyżej. Tu wyraźnie widać cofanie się, a nie postęp...

Ale oto jeszcze silniejszy, wybitniejszy przykład: gmachy te posiadają liczne okna „witrażowe", opracowane architektonicznie i rysunkowo i cóż tu widzimy?! Krzyże bizantyńskie, krzyże łacińskie! Ozdoby pilastrów czysto bizantyńskie, zaś fresk płaskorzeźb, biegnący u góry ośmiograniastej kopuły, to fresk, który może jest kopją stylu hebrajskiego z czasów Salomona! Grona winne, kłosy, granaty i kwiaty! Ale ponad wszystko i wszystkiem, to te krzyże, tak dokładnie opracowane, tak ściśle modelowane. A jest to przecież świątynia fetyszystów! Gdzież tu postęp?...

Pawilon ten grupuje w sobie cały szereg kolonji, więc: Senegal, Gwineę, Dahomey, Sudan francuski, Maurytanję, Nigerję, Dakar i Wybrzeże Kości Słoniowej. Szereg dioram przedstawia nam widoki tych krain, obok liczne warsztaty wyrobów, wreszcie całe piramidy produktów, próbki minerałów, pnie drzew, tablice statystyczne etc. Tłum turystów, tłum, jak każdy tłum: bezmyślny, ciekawy i znudzony zarazem, gapiący się i robiący najbardziej nieprzewidziane, a płytkie uwagi, płynie tutaj pomiędzy gęsto rozstawionemi placówkami żołnierzy „kolorowych", o dziwnie łagodnem, pogodnem i zawsze uśmiechniętem spojrzeniu. Ci czarni patrzą ciekawie i również przyglądają się, ale nie budowlom i dioramom, które im nic nie mówią, lecz właśnie temu tłumowi, a z twarzy ich bije ciekawość dziecinna i serdeczność gospodarzy przyjmujących. Zresztą nietylko żołnierze należą do tuziemców; tu wszędzie wciąż krążą między publicznością i „cywile" tamtejsi — i pracownice murzyńskie i kupcy, nawet czarnoksiężnik, całkiem oryginalny, robi wśród „cywilizowanej" publiczności (naturalnie głównie płci pięknej) znacznie lepsze interesa, niźli tam gdzieś w Afryce; sprzedaje masami amulety, czyni zaklęcia i przepowiada, w rodzaju esperanta własnej koncepcji, przyszłość choćby najdalszą.

Tłum elegancki, cywilizowany, kotłuje się wprost dokoła tego, w ptasie pióra i kły zwierząt odzianego, bardzo brudnego maga, a obok stojący senegalski żołnierz, wsparty obu rękami na lufie karabinu, patrzy i uśmiecha się, no i pewnie coś myśli...

Lecz oto nagle stajemy jak wryci! Tam, pod tem sklepieniem, ozdobionem freską, przypominającą Egipt i Bizancjum, wyłania się z tłumu trzech ludzi, trzech Apostołów: św. Piotr, św. Andrzej i św. Filip! Oni przecież tak, a nie inaczej musieli wyglądać! Wspaniałe, szlachetne rysy twarzy, postacie, pełne powagi, stroje i ten wzrok spokojny, prosty, a tak niezmierną głębię ukazujący! To są arabowie sudańscy, szczep bardzo bliski Maurom, zresztą pochodzenia semickiego z Transjordanji, byli władcy tych wszystkich krain. Silnie śniadzi, o bujnych, długich i lekko kręconych włosach, brody jak z obrazów Leonarda da Vnci, a ruchy tak pełne majestatu, że patrząc wstyd się nam robi, że jesteśmy tylko europejczykami!

Jeden coś wskazuje ręką i tłumaczy, dwaj drudzy słuchają z uwagą i namysłem, a właśnie południowe słońce oświeca ich w pełni, mieni się na powłóczystych szatach... Obraz ten, śmiało można powiedzieć „wizja", trwa niestety ledwie parę sekund, bo natychmiast wszystko zakrywa, zalewa, topi „cywilizowany" europejski tłum.

Aby sobie nie popsuć wrażeń, spiesznie wychodzimy i wpadamy natychmiast w dalszy wir zewnętrznej wystawy: restauracje, kawiarenki, „atrakcje"; więc tu „la dance du ventre", tam dźwięki prawdziwych murzyńskich jazzbandów, ówdzie klaszcząc w dłonie tańczą, a raczej depcą w kółko bardzo brzydkie i bardzo spocone murzynki, co pewien czas huczy nad tem wszystkiem napowietrzna kolej pobliskiego Luna Parku, wreszcie wydostajemy się na główną arterję: placyk z fontanną.

Tak, to się udało!

Za model wzięto murzyński wieszak na garnki i z każdego koniuszka bambusa wypuszczono strugę wody, doda-

no parę kubków, parę równoległych beleczek, styl „nowożytny“ zlał się wreszcie ze swym bratem rodzonym, „stylem najdzikszych“ z Nigerji. Szkoda tylko, że nie urządzono tu deptaka na dancing z jazzem... może obawiano się zbyt silnie tym faktem urazić zamieszkałych obok arabów, którzy są przecież ludźmi rozsądnymi.

Na lewo od tego placyku wznoszą się pawilony Tonkinu, pod postacią bazaru chińskiego z piękną bramą wjazdową i gdzie, między innemi, wyrabiają cudne hafty. Dalej nieco myśliwski pawilon odebranej od Niemiec kolonji Togo, za nim pawilon Kamerunu, budowany na wzór osady murzyńskiej, a tak wybitnie przypominający zagrodę zamożnego włościanina z Mazowsza lub Krakowskiego, że się aż nieprzyjemnie robi, patrząc na to. Na prawo cały dział Afryki Północnej: więc Algier, Tunis, Marokko, a wprost w dali, przy ostatecznym zakręcie alei, właśnie między Algierem a Marokko, wznosi się olbrzymia kolumna-obelisk, możnaby to też nazwać ozdobnym kominem fabrycznym; jest to pawilon-pomnik wojsk kolonjalnych, „le monument des Forces d'Outre-Mer“. Zbliska widzi się, że jest to wieża w stylu nowoczesnym, przeładowanym również nowoczesnemi ozdobami, tarczami i emblematami. Wewnątrz okrągła sala, obwieszona sztandarami pułków wojsk kolonjalnych, które walczyły podczas wielkiej wojny, pośrodku rodzaj „świeckiego“ ołtarza: warty zbrojne stoją dokoła. Tu każą wszystkim odkrywać głowy, ale odwrotnie, jak w pawilonie Misji, każdy, wychodząc szybko, wkłada kapelusz... A jednak pawilon ten robi wrażenie grobowca! Tam zdaje się, że już spoczywa „zabalsamowane“ ciało imperjalizmu europejskiego!... U szczytu olbrzymi sztandar Francji, lecz wieczorem, przy powszechnej iluminacji, wieża ta wygląda, jak połyskujący, nagi miecz, wzniesiony ku górze, a sztandar zatraca swe barwy i robi wrażenie łopocącego skrzydłami nieznanego ducha...

U stóp tej wieży — na obszernym placu — codziennie odbywają się rewje i parady rozmaitych wojsk kolonjal-

nych; tam to ubrani w europejskie mundury, z europejską bronią w ręku, kroczą miarowo owi „dzicy“ i gdy się widzi ich wzrok, zwrócony na gapiące się tłumy, nabiera się pewności, że ta wieża jest już grobowcem, że ci ludzie, dokoła niej manewrujący, już długo Europie służyć nie będą!

Tuż przy wieży „sił zamorskich“ rozłożyły się szeroko pawilony Afryki Północnej, Marokko, Tunis, Algier. Żywcem, a raczej „in natura“, przeniesiono tu cały „suk“ czyli kryte targowisko, coś w rodzaju naszych sukiennic krakowskich, z Tunisu. Wąziutkie, sklepione uliczki, dziesiątki drobniutkich sklepików, pracowni, kawiarenek; wszystko obwieszone dywanikami, szyldzikami, duży urok folkloru, zapach ostrych lub mdłych południowych perfum i kadzideł, skór, kawy, surowej przędzy, wrzask żydów, odzianych w burnusy i fezy (bo tylko ta część ludności tamtejszej zajmuje się handlem ulicznym), ścisk, szalone ceny, które należy targować godzinami i w ten sposób o 500 i więcej procent obniżać, produkty bardzo liche — ciemno, duszno. Kto znał jarmarki Berdyczowa lub choćby szukał towaru na Nalewkach, tego, poza kolorytem strojów, słynny suk nie zadziwi.

Meczet, oddalony nieco od suk'u, a łączący się z nim krytemi uliczkami, posiada ładny minaret, z którego balkonu, obojętny na ruch i obcą publiczność muezzin trzy razy dziennie woła na modlitwę. A warto słyszeć owo monotonne, ale dzwięczne wołanie, bo wówczas widzi się nagle, jak wśród rojącego się a gwarnego tłumu, tu i ówdzie, czasem ubrany w burnus, czasem w mundur francuski, częściej już całkiem po europejsku, zatrzymuje się nagle obojętny przechodzień; chwilę szuka wschodu, twarz mu poważnieje, kamienieje niemal w skupieniu, schyla głowę, przymyka oczy — modli się!... Modli się żołnierz, stojący na warcie, modli się prowadzący wielbłąda kornak, modli się sprzedający nugaty kupczyk, modli się chłopak, roznoszący kawę, muzykant przerwał swą grę na jakiejś dziwnej drumli. Muzułmanowie modlą się i wiedzą, iż modlitwa jest cechą

ludzkości człowieka, że jest cechą najwyższych umysłów i... dlatego to „niewiernych" psami nazywają!

Ci ludzie nie wiedzą nawet, jakie robią wrażenie na europejskim bezwyznaniowym tłumie! Oni nie wiedzą, co to znaczy wstydzić się swej wiary, wstydzić się zrobić publicznie znak krzyża świętego, zgiąć kolana przed ołtarzem. To są muzułmanowie! A przecież im Mahomet nie obiecywał nigdy, iż jeśli się go nie zaprą przed ludźmi, to on się ich nie zaprzed przed Aniołami!

Ale spieszmy dalej. Pawilon Marokka, bardzo bogato ozdobiony, zakończony wielkiem „patio", gdzie tryska fontanna i spacerują pawie, a dokoła sklepy i warsztaty, gdzie wzorzyste tkają kobierce, gdzie z prostych kolorowych skór wyrabiają rozmaite przedmioty, gdzie ryte z mosiądzu błyszczą naczynia i gdzie wreszcie jest prawdziwa arabska restauracja i prawdziwa także kawiarnia. Natomiast cały dział Algieru wykazuje zupełne zeuropeizowanie tej dziedziny, którą można już nawet nazywać „nową Francją"; pawilon główny bardzo piękny, ale już też i bardzo hall'em palace-hotelu tchnący.

Wychodząc z działu Afryki Północnej, aby pozostać wśród francuskich kolonji, należy zawrócić prawie równolegle do głównej alei, którą możnaby nazwać Azjatycką, gdyż tam właśnie dotyka wspomniany już pawilon Tonkinu, a dalej Indo-Chiny i Anam wyprowadzają nas do początku mostu posągów, wiodącego do An-Kor-Vat'u. Z drugiej strony znowu dziesiątki drobnych pawilonikow, bardzo gustowny, cały z czerwonej laki chińskiej pawilon restauracji Potel et Chabot, gdzie, aby móc spożyć kolację, należy sobie miejsce zamówić od rana, tak jest obleganą.

Tutaj stoimy u prawdziwego małego portu „l'embarcadère", gdzie dziesiątki najdziwaczniejszych łódek wszelkich modeli i krain przybija do brzegu, aby brać chętnych przejażdżki po jeziorze lub też przewozić zmęczonych turystów na wyspę „Bagdadu" lub następną: „rozrywek".

Idźmy jednak dalej, bo ponad nowemi dziesiątkami ka-

wiarń i restauracji wybija się tam z pośród drzew wysoka, kwadratowa wieża jakiejś świątyni z Madagaskaru, graniasty, prosty słup w stylu „najnowocześniejszym“ (chociaż posiada przeszło 15 wieków), ale uwieńczony czterema olbrzymimi i bardzo artystycznie odrobionymi łbami bawołów, coś w rodzaju olbrzymiego światowida słowiańskiego; i właśnie to zakończenie tej prostej, jak słup, wieży, daje całości wygląd logiczny (czego żadna wieża nowoczesna nie posiada); daje, może mylną, ale niemniej myśl głębszą, wskazuje na potęgę, moc, pracę i wytrwałość. Nic podobnego o wieżach czy słupach tam, przy wejściu ustawionych, powiedzieć nie można.

Obok tej wieży wznosi się ogromny pawilon Madagaskaru, budowany na wzór pałacu byłej królowej w Tananariwie. Budowla bardzo euroupejska, coś w rodzaju wielkiej haciendy hiszpańskiej, do której wiodą monumentalne i bardzo wysokie schody. Zresztą Madagaskar i jego mieszkańcy, ogólnie zwani Malgaszami, a stanowiący dość zawiłą etnograficznie mieszaninę Ovasów, Seklawich, Antoworów, Batimsarasów i innych plemion malajskich lub nawet indo-europejskich, dawno już są europeizowani, w każdym razie znacznie dawniej od Algieru. Zaraz na początku XV-go wieku, za przewodem podróżnika Lorenza d'Almeida, zetknęli się ze wspaniałą wówczas cywilizacją portugalską; następnie Henryk IV francuski rozpoczyna kolonizację, budując w zatoce Delfina fort; od r. 1774 po 1786 rozwija tam swą fantastyczną epopeę nasz Beniowski, a od drugiej połowy XIX wieku staje się wyspa szybko kolonią francuską. To też zwiedzając ten pawilon nie ma się wrażenia „dzikości“ mieszkańców wyspy.

Duże, przestronne sale, wiele niewygodnych, takich z połowy XIX wieku, lichych, a pretensjonalnych schodów, licho malowane dioramy, przedstawiające rozmaite, bardzo piękne widoki wyspy i statystyczne djagramy (jak zresztą we wszystkich innych pawilonach), djagramy „postępu“, bezkrytyczne i więcej, niż wątpliwe, co do rzeczywistego

stanu rzeczy, stanowiące niebezpieczną zachętę, ułudną reklamę, mogącą pociągnąć tysiące biedaków lub wykolejeńców tam daleko, do tych „malowanych“ krain, gdzie zamiast wykazanych w djagramach dostatków, w rzeczywistości czyha na nich wyzysk wielkich przedsiębiorstw i ostracyzm tuziemczej ludności.

Ale oto nagle trafiamy na dział sztuki malajskiej, bowiem malarstwo tuziemne znalazło przytułek na ścianach klatki schodowej i tu stajemy zdumieni! Odczucie piękna w całem ujęciu kompozycji, jakoteż i w doborze szczegółów, wprost niedościgniona pracowitość i ścisłość wykonania, przy doskonałej technice, owe dawno zapomniane w Europie cechy prawdziwego artysty, który dziś w większości wypadków, prócz brudzenia płócien anilinowemi farbami, prawie nic już więcej nie umie, a co najdziwniejsze, to, że jest z tego swego stanu dumny! Tam, z tych obrazów, artyzm bije całą mocą!

Takie pejzaże, jak te, podpisane Jean Kerhar, takie portrety, jak wystawione przez Rasafo, zawodniczyć mogą śmiało z naszymi Chełmońskimi i Matejkami, są przytem szczegóły wykończenia lub układu fałdów materji, które chyba tylko umiejętność Czachórskiego mogłaby oddać. Lecz fakt, iż owi „dzicy“ z Madagaskaru tak malują, nie jest bynajmniej dziwnym, gdy się już widziało arcydzieło An-Kor‘u lub hafty tonkińskie, ale natomiast zastraszającą jest „ewolucja“ tej sztuki; idąc bowiem dalej natrafiamy na wystawę „młodych“, więc Ratovo, Rakataka, Raimbo, Kalamava... Madagaskar-li to, czy też plac Małachowskiego? Coś, co tworzył artysta, czy też psoty czteroletniego dziecka, które się dorwało (bez opieki bony!) do farb i pendzli? I tu dopiero widzimy wyraźny wpływ dzisiejszej cywilizacji — wpływ ewolucji destrukcyjnej!

Idźmy dalej. Przed nami otworzyły się teraz dwie wielkie arterje wystawy: jedna okrąża jezioro, a wzdłuż niej wznoszą się gmachy kolonji niefrancuskich, druga łączy środek lasku, więc jezioro i wyspy, z głównem wejściem.

Wyspy służą dla wypoczynku i rozrywki; na pierwszej, gdzie dostajemy się dwiema groblami, okrytemi, jak pergole, rodzajem metalowych palm, służących, jak wszystkie takie ozdoby, do oświetleń nocnych, znajduje się parę teatrzyków, tee-room'ów, kawiarnie oraz wspaniała restauracja, zwana Bagdadem; na drugiej znajduje się Luna Park z wszystkiemi swemi atrakcjami. W tee-room'ie, który jako bungalow wznosi się tuż nad brzegiem wody, usługują mieszanki Martyniki. Wszystkie, niemal bez wyjątku, wybitnie urodziwe, oddziane w „narodowe" stroje, które są niczem innem, jak europejskiemi sukniami z czasów Ludwika Filipa, odznaczają się wielką uprzejmością i skromnością. Gdy jakiś elegancki lowelas zaczyna niestosowną rozmowę, wystarcza jedno spojrzenie takiej prostej dziewczyny, aby „cywilizowany" goguś zapomniał języka w gębie. Widocznie wystarcza c h c i e ć być porządnym, aby nakazać temsamem względem siebie szacunek. Mamy wrażenie, iż wiele dzisiejszych europejskich pań i panien, winno odwiedzić tę herbaciarnię i przyjrzeć się tym usługującym dziewczętom!

Luna Park, jak wszystkie tego rodzaju zakłady, huczy i rozbrzmiewa muzyką, warkotem karuzeli, elektrycznych kolejek, trzaskiem strzelnic etc. etc. Ale i tu można coś zauważyć! Tłum całkiem europejski, przeciętny, rozbawiony wielkomiejski tłum. Oto buda, w której za pięć franków otrzymuje się pięć drewnianych kul i ma się prawo ciskać te kule na szeregi talerzy i dzbanów fajansowych, ma się prawo tłuc porcelanę i szkło! Przed budą zatrzymuje się właśnie jakiś młodzian o „średnich", jak w wykazie paszportowym, rysach, o równie „średniej" inteligencji, taki sobie „jeden z tłumu". Płaci pięć franków, bierze kule, waży je chwilę w ręku, spogląda na szeregi talerzy i oto nagle ta „średnia, przeciętna" twarz zmienia się, rysy robią się „wybitne", jakieś drgnienia przebiegają po szczękach, młodzian ciska kule jedną po drugiej, a gdy słyszy łoskot i brzęk pękających garnków, oczy jego nabierają wyrazu

pewnej błogości, zadowolenia, które gdzieś już widzieliśmy... Ach prawda! Tam, w pawilonie Senegalu czy Konga, jest diorama, na której przedstawiono dawne czasy kolonji. Tam jedno plemię morduje drugie i wyraz twarzy tych mordujących jest identyczny z wyrazem twarzy tego tu młodziana. Sceny z przed tej tu budy winnyby być stale filmowane; byłby to świetny ilustrowany dodatek dla całości obrazu wystawy „dzikich ludzi".

Jeżeli orjentować się będziemy na świątyni An-Kor'u, to „z tamtej strony„ jezior znajdujemy dzielnicę pawilonów zagranicznych i zaraz na tej „międzynarodowej" wystawie uderza nas brak największego kolonjalnego mocarstwa: Anglja nic nie wystawiła! Jest coprawda duże, przykre napięcie politycznych interesów, „dziedziczny wróg" — boć Anglja jest nim dla Francji — daje się łatwo wyczuć. Anglja i Anglicy wyraźnie bojkotują wystawę. Amerykanie też; ale w tym wypadku, to poprostu koniec idylli dolarowej i coraz to wyraźniejsze starcie między starą cywilizacją a dorobkiewiczami z za morza. Ale Anglja?

Ten bojkot wystawy, to tylko dość szorstkie pokrycie własnego wstydu, bo cóż Anglja wystawi? Gandhiego? Bojkot indyjski? Separatyzm Dominjów? Fiasko polityki metropolitalnej? Wobec wspaniałej wprost jedności myśli kolonji francuskich, wobec kolosalnych cywilizowanych wpływów Francji, polityka Anglji nie może nic wykazać podobnego i to jest główny powód dąsów angielskich na wystawę paryską. A porównywując tak te dwa systemy kolonizacyjne, wyższość Francji znajduje swą moc nie w gabinecie ministra kolonji, nie zawsze w mdłych i wadliwych posunięciach polityki zagranicznej, lecz w tym tam pawilonie — misji. Cała różnica polega na tem, że pionierami Francji są poświęcający życie, biedni i prześladowani misjonarze katoliccy, gdy Anglja wysyła zasobnych w fundusze i potężnych organizacją, ale jakże ubogich duchem swoich purytanów, ewangielików i swoje Imki.

K a t o l i c k i e m i s j e f r a n c u s k i e p o d b i-

jają całkiem pokojowo i bez żadnych nadzwyczajnych środków świat dla Francji. I to jest oczywiste zjawisko ducha.

Z pośród zagranicznych pawilonów na pierwszy plan wybija się całkiem słusznie pawilon trzeciego kolonjalnego państwa w świecie, małej, ale zamożnej Holandji. Pawilon, który oglądaliśmy, spłonął doszczętnie w noc 28 czerwca, a równo w 50 dni potem otwarto 18 sierpnia na tem samem miejscu nowy i również wspaniały drugi pawilon, co dowodzi, że jednak Wystawa paryska nie jest bez znaczenia, jeśli tak umiejący liczyć kraj, jak Holandja, zdobył się na powtórzenie wysiłku. Ale to, co spłonęło w prześlicznym pierwszym pawilonie, tego nikt nie wróci, bo zginęły tam przepyszne muzealne zbiory i wprost arcydzieła poglądowych map i grafików. Była tam między innemi olbrzymia mapa plastyczna kolonji holenderskich, a na niej cisnął się cały ludek drobniutkich figureczek, ubranych w stroje danych okolic i w ilości, odpowiadającej gęstości zaludnienia, widniały lasy, pola ryżowe, plantacje trzciny cukrowej, ogrody, winnice, wszystko statystycznie określone, tak, że patrząc na tę mapę, bez żadnych komentarzy rozumiało się wszystko! Patrząc właśnie na tę mapę widać było, że ludność tuziemna zanika, ustępuje miejsca kolonistom europejskim i... żółtym. Która rasa zwycięży, trudno „od oka" sądzić, widać jednakże jasno groźbę żółtego niebezpieczeństwa.

Zaraz obok Holandji wznosi się jeden z najwspanialszych pawilonów wystawy: pałac cezara Septyma Sewera w jego rodzinnem mieście Leptis Magna, dzisiejszej Lebedak w Trypolitanji. Jest to naturalnie pawilon włoski i stanowi dla ludzi mniej „postępowych" prawdziwy odpoczynek wzroku i umysłu po tych wszystkich „nowoczesnościach" i „dzikościach". Gmach pochodzi z końca drugiego wieku i widzi się w nim całą potęgę romańsko - greckiej sztuki, widać też, iż Septym Sewer posiadał również gusta przepychu, jakimi zasłynął syn jego, Karakalla. Niebywałe

bogactwo mozaik, posadzek i ścian, marmury rzadkie i barwne, lekkie, a jednocześnie poważne kolumnady, posągi, fontanny, tryskające z karraryjskich mis. Długą chwilę spędzamy, napawając wzrok tem prawdziwem, bo „klasycznem“ pięknem, karmimy umysł kulturą łacińską, której nie skaził jeszcze ani materjalistyczny zachód, ani rozleniwiony a przewrotny wschód. Włosi wystawili wspaniały pałac kultury swych przodków, a w pałacu tym, w tym pawilonie wystawy międzynarodowej, gdzie słowo Paneuropa łączy się z myślą o pokoju powszechnym, gdzie jeszcze tak niedawno półbożek „prawdziwych“ europejczyków, Briand, decydował o „deszczu i pogodzie“, w tym pawilonie, pomiędzy posągami Apollinów i Djan, wystawili Włosi... kulomioty najnowszego typu, zbiory broni, nowe typy karabinów, lekkie działka i żywych, wspaniałych w swych mundurach skarisów, żołnierzy wszelkich typów oraz najautentyczniejszych milicjantów faszystowskich. Jest tam jeszcze parę dat statystycznych o wzroście potęgi Italji i nic więcej! A jednak, jak tam jest dużo wystawionych myśli! Roma z czasów Septyma Sewera, który rozpadające się państwo złączył na nowo, który zwycięskie swe legiony prowadził wzdłuż Eufratu i mianował prokonsulów w Bagdadzie, a w parę lat później budował mur ochronny poprzez całą szerokość Szkocji, od zatoki Forth do zatoki Clyde, aby przeciwległe granice imperjum od nazjazdów kaledońskich barbarzyńców ochronić; ten Rzym, stanowiący „całość“ ówczesnego świata — i Roma dzisiejsza, też złączona niedawno, też w rękach człowieka bardzo mądrego i bezwzględnego też bardzo, która na forum świata pokazuje swą uzbrojoną prawicę, nie wstydzi się powiedzieć, iż u jej bram czuwają straże. Tak, Mussolini chwali się przed światem swoimi askarisami, przypomina nam wielkość cezarów. Myśli jednak biegną dalej: w r. 201 Septym Sewer wznowił prześladowanie chrześcijan, syn jego zwał się Caracalla i kazał czcić swego konia jako bóstwo, a wkrótce potem walić się poczęły mury mocarstwa, odpadać prowin-

cje, państwo jako takie, naród jako taki, znikły z powierzchni ziemi, lecz Roma dalej żyła — większa, potężniejsza, świetniejsza, niż kiedykolwiek, bo była stolicą chrześcijaństwa... Właśnie parę dni temu Mussolini wznowił zatarg z Watykanem, nakazał rozwiązać wszystkie stowarzyszenia Akcji Katolickiej *). Rozglądając się w tym pawilonie tyle tam widać wystawionych myśli!

W tejże części Bois de Vincennes znajduje się grupa pawilonów kolonji portugalskich, pawilonów bardzo pięknych, stylowych, z XV i XVI wieku, ozdobionych majolikami i wspaniałemi makatami. Mimowoli, wbrew woli, wystawili tam dzisiejsi republikańscy Portugalczycy wielkość i potęgę czasów królewskich, czasów świetlanej, apostolskiej działalności dynastji d'Avizów, począwszy od Jana I-go, a kończąc na Sebastjanie. I widać, jak potem przyszedł upadek i widać, jak dziś dawne mocarstwo kolonjalne ledwie wegetuje.

Pawilon amerykański jest paradoksem! Miłe to na oko i sympatyczne, boć to dwór wiejski z końca XVIII wieku; dwór o włoskich cechach architektury, mieszkanie jednego z ostatnich europejczyków w tym kraju — Washingtona. Ale co za pomysł!! Wystawa kolonjalna — i Ameryka zamiast chwalić się Filipinami, wyspami Hawajskiemi lub ostatecznie Alaską, wystawia zabytek Europy!?

A może panowie Hoovery, Borah'y czy Mellon'y najnaturalniej w świecie chcieli pokazać „swoją" najnowszą kolonję: Europę?

Dalej, już na skraju, czai się, nie można inaczej tego nazwać, pawilon Danji. Czai się, bo ta „najnowsza" architektura i pawilon ten jakby rozpłaszczył się na ziemi, przykucnął i „coś myśli, coś zamierza". Brrr! Co za potworne budownictwo! Zimno zeń wieje i człowiek nie dziwi się wcale, gdy, wchodząc, witają go białe niedźwiedzie, foki

---

*) Artykuł niniejszy dostarczony został w sierpniu, przed likwidacją zatargu. Widać jednak, że Mussolini dobrze się zorjentował w sytuacji, nakazując swoim zgodę z Watykanem! (Red.).

i pola lodowe. Danja „wystawiła“ Grenlandję i mimo całego wstrętu, jaki może wzbudzić styl nowoczesny, mimo świadomości, iż zwiedzamy kraj wieczystej zimy, musimy przyznać, że ci eskimosi duńscy lepiej mają urządzone wioski, lepiej zorganizowane stosunki życiowe, handlowe i swoistego przemysłu, niż wiele, bardzo wiele okolic naszej ojczyzny.

Wreszcie, tworząc vis à vis dla świątyni An-Kor-Vat, wznosi się potężny pałac Metropolji, gmach w stylu extra-nowoczesnym, coś, co nie ma ni początku, ni końca, ale nie jak wieczność, lecz jak chaos! U szczytu, a raczej w miejscu, gdzieby normalnie szczyt być powinien, wznosi się kolosalna, kolorowa postać kobieca, mająca prawdopodobnie przedstawiać trzecią republikę, w ręku bowiem trzyma sztandar francuski, zaś głowę ma odzianą w czapkę frygijską. Jakże dziwnie udaną jest alegorja tej postaci! Olbrzymi korpus, odziany w biało-błękitny płaszcz, a u góry malutka czerwona główka, niby makóweczka: Lud i jego przedstawicielstwo! Wewnątrz gmachu wykresy i statystyki biurokratyczno-oficjalno-pedantyczne, zdające się wszystko jak najdokładniej tłomaczyć, a w rzeczywistości nic nie przedstawiające, szeregi dowolnie dostosowywanych porównawczych cyfr. Pozatem sale olbrzymie i wspaniałe dla przyjęć extra-gości, sale również całkiem nowoczesne tak, iż gdy się tam stanie, zatraca się pojęcie, gdzie są drzwi, a gdzie okna, gdzie pułap, gdzie podłoga. Prawdopodobnie mucha, gdy spaceruje po suficie, musi odnosić podobne wrażenie! Ale mucha jest do tego przyzwyczajona od wczesnej młodości, gdy tymczasem część społeczeństwa jeszcze pamięta czasy, w których architektura należała do rzędu logicznych.

W tej chwili właśnie jakiś „przedstawiciel ludu“, a może minister lub tylko dyrektor departamentu, coś gdzieś na Wystawie „otwiera“, więc potężne kordony policji, w liczbie conajmniej tysięca ludzi, wypierają publiczność z ogromnej części wystawy, w której owi dygnitarze raczą się obracać.

Żaden monarcha (chyba dawniej car i to w wyjątkowych okolicznościach) nie pozwala sobie na taki luksus ostrożności, na tak bezceremonjalne traktowanie „tłumu". Ci panowie, po zjedzonym oficjalnym obiedzie, życzą sobie zobaczyć perspektywę „mostu alei posągów" świątyni An-Kor, więc policja ‚oczyszcza" całą aleję z publiczności i zamyka dostępy do wszystkich pawilonów, położonych po obu stronach alei; niemożliwem jest zbliżyć się do dygnitarzy republikańskich mniej, niż na 300 kroków!

Widzimy ich, jak spacerują z rękami w kieszeniach, w źle skrojonych żakietach, wyglądają, jak zasobne kupczyki lub fabrykanci musztardy, szerokimi gestami coś sobie tłumaczą, palą cygara. O cześć wam, panowie magnaci!

Tymczasem słońce utonęło już w górach i dymach Paryża, zapadać zaczyna wieczór, wszystkie pawilony zamykają się, w alejach, restauracjach, barach, kawiarniach robi się coraz to tłumniej, lecz mrok nie nadchodzi. W miarę jak ciemnieje niebo, jaśnieć zaczynają same pawilony, światło wypływa wprost z liści drzew, z parkanów, dachów. Świecić się zaczynają słupy, bezcelowo dotychczas stojące, szeregi tarcz, które zdawały się oczekiwać na afisze, jaśnieją podobne do setek księżyców, zapalają się jakieś girlandy lilji, to znów jaśnieją, jakby wyrastające z trawników, olbrzymie liścienie i dziwne kwiaty, błyszczą setkami odblasków olbrzymie kryształowe kule, świecą się matowem, białem światłem słupki przy trawnikach, progi i schody. Tam całe aleje ognistych trójbarwnych kolum, z których szczytu kłębią się różnobarwne obłoki pary i robią wrażenie alei kadzielnic; tu w cieniach lasku świecą czaszki bawole, tam kwiaty lotosu, jeszcze dalej baldachimy, a wszędzie liście drzew, oświecone reflektorami, zdają się same promienieć światłem.

Lamp, żarówek nie widzi się nigdzie — wszystko to świeci refleksami. Wszystkie pawilony, wszystkie gmachy oświetlone są różnobarwnymi reflektorami — tysiącami re-

flektorów! I tak Indochiny i Tonkin kanarkowo żółte, Afryka Zachodnia wygląda, jakby była zbudowaną z rozpalonego żelaza, Madagaskar srebrzysto-biały, Mrtynika, Kaledonja seledynowo-zielona, ale „clou“ wszystkiego, to znowu świątynia An-Kor‘u.

Zamknięta obecnie dla publiczności, samotna i pusta zupełnie, oświetlona bądź złotawem światłem tak, iż wydaje się cała ze złota ulana, bądź też — i to jest najpiękniejsze — skąpana w zielonawym, jakby księżycowym blasku, gdy szczyty wieżyc i co dziwniejsze, wszystkie cienie, są barwy fiołkowo-różowej.

Z poza świątyni strzela w niebo pięć snopów błękitnych promieni. Całość jest tak piękna, że stojąc na wiodącej ku niej alei, wprost oczu oderwać nie można.

Ale tam, gdzie gra świateł przechodzi wszystko, co sobie można wyobrazić, to przy świecących fontannach i kaskadach.

Wszystkie one teraz świecą i błyszczą, jakgdyby to nie woda, ale brylanty sypały się dokoła; na jeziorze ustawiono w trzech miejscach potężne grupy pomp, tworząc trzy olbrzymie sklepienia wodne o 40 metr. szerokości, około 30 wysokości i posiadające do stu metr. rozpiętości. Tu woda co chwilę zmienia barwy, przechodząc przez wszystkie kolory tęczy, bądź jednocześnie, bądź naprzemian. Aby zrozumieć ogrom tego urządzenia, wystarczy nadmienić, iż każde z tych „sklepień“ oświetlone jest przez 140 reflektorów, zaś pompy wyrzucają przeszło 6 tysięcy metr. kubicznych wody na godzinę!

W głębi wznosi się cały teatr wodny, t. zw. „Le Chateau d‘Eau“, oświetlony 400 reflektorami, gdzie 12 baterji pomp o sile 340 K. W. wyrzuca we wszystkich kierunkach świetlaną wodą.

Gdy z pewnej wyniosłości, np. od strony wielkiego Luna Parku, patrzeć teraz na wystawę, widzi się jakby olbrzymi, różnobarwny obłok światła, a nad nim czarne, usiane gwiazdami niebo; lecz na tem ciemnem tle widnieje,

opierając się lekko o ten obłok światła, jasny owal, w którym jeszcze jaśniejsza góruje nad wszystkiem postać Matki Boskiej. To ów posąg, stojący na szczycie Misji, oświetlono teraz reflektorem. Tak, aby wystawę paryską należycie ocenić, trzeba trochę myśleć i nietylko w materjalnym obracać się świecie.

Wieczorem, w tem morzu światła, tak jest jakoś kojąco, dobrze, tak to wypoczywa umysł i nerwy, że trudno się zdecydować opuścić wystawę, ale w rozmaitych punktach już odzywają się sygnały, publiczność rzednie coraz bardziej, odpływa — trzeba już iść.

Wychodzimy: całe wejścia obecnie promieniują niemal oślepiającym blaskiem, świecą się wszystkie słupy, świecą setki wodotrysków, jaśnieją płaszczyzny murów, ale dziwaczność nowoczesnej umysłowości daje się chyba tylko wytłomaczyć ślepotą! Oto środek placu, przed głównem wejściem wznosi się pomnik, olbrzymi słup, kolumna, czy też wieża, bo choć wszystko to przypomina, lecz do niczego podobnem nie jest; i teraz można zauważyć (ale tylko biernie się przyglądając), iż w środku tej budowli bije kolosalna fontanna brylantowo oświetlonej wody. Otóż ściany tego słupa czy wieży, pokryte nazwiskami największych podróżników świata, całkowicie zakrywają ten wodotrysk i tylko przez trzy wąskie szpary można wodę dostrzec. Jakaż to może być myśl, którą ten dziwny układ ukrywa? Wcale to nieźle przedstawia świat materji, zakrywający swymi kanciastymi blokami Źródło Żywej Wody... Wątpliwe tylko, czy taką była myśl budowniczego!

Siadamy do auta, okrążamy wśród istnego potoku innych pojazdów ten świetlisty plac i nagle, na czarnem, jak kir, niebie, rozbłyska olbrzymi napis: „Savon Cadum“.

Z krainy baśni, z wycieczki myśli i wrażeń—wjeżdżamy z powrotem do dzisiejszej Europy!

Józef Tyszkiewicz.

O KOŃCU HISTORJI.

(Mereżkowski: „Atlantyda — Europa". (Belgrad, 1931, str. 532 i XX).

1.

Wygnaniec Rosjanin, ten tułacz bez ojczyzny i bez dachu nad głową, najbardziej pożałowania godna ofiara wojny, jest, dzięki temu, najczulszym, według Mereżkowskiego, barometrem politycznym; on najlepiej i najtrafniej ocenia wartość tego, co się w Europie mówi o wojnie i o pokoju. Barometr ten zatrzymał się obecnie, oznacza to niezmienność dzisiejszego stanu atmosfery, czyli, że nic nie stoi na przeszkodzie groźnej chmurze, idącej od Wschodu; lada chwila ona się rozciągnie nad całym widnokręgiem i wybuchnie nawałnicą, która zmiecie cały dobytek, wszystko, co gromadziły stulecia pracy i kultury: „Pokój obecny, to szczelina między dwoma kamieniami młyńskimi — chwila nieznośnej duszności między dwoma burzami — tymczasowe zawieszenie broni między jedną wojną a drugą".

Oczywiście, nie jest Rosja barankiem bez zmazy, niewinną ofiarą nieszczęścia, które na nią spadło. Przypuśćmy, mówi Mereżkowski, że winną jest w dziewięciu dziesiątych, ale jedna dziesiąta winy bezwarunkowo leży na Europie; człowiek wziął, czy nałożono mu na barki 10 pudów i jako tako ciężar ten wytrzymuje, lecz oto ktoś dorzucił jeden jeszcze pud i kości zaczynają trzeszczeć; ten dziesiąty pud zwaliła na Rosję Europa i bezmyślnie przypatruje się temu, co się tam dzieje. „O, wiemy to dobrze, że gdyby czyjaś niewidzialna ręka nie ratowała Sowietów, ile razy spotykało je jakiekolwiek niepowodzenie, Rosja byłaby już wolna od ciemiężców swoich". „Niewidzialna ręka" jest tu widocznie figurą retoryczną, rękę tę bowiem

widzimy wszyscy; wszystkie państwa, jeśli nie wszystkie, to te, które decydują o losach świata, zgodne czynią wysiłki, aby wzmacniać Sowiety; w poczuciu własnej nikczemnej marności, nie są one w stanie wznieść się ponad drobnokupieckie interesy chwili bieżącej. Dyplomaci nie pominą żadnej sposobności do czołobitnych ukłonów i uniżonych zapewnień przyjaźni i czci; przemysłowcy i publicyści, których łaskawie zaproszono do Moskwy, wracają oszołomieni wspaniałością tego, co im pokazano, genjuszem i żelazną wolą tych, co tam wszystkiem kierują — militarną potęgą, którą ci kierownicy stwarzają. Z potęgi tej niejeden skorzystaćby chciał w celach porachunku z sąsiadami; dla nikogo nie jest tajemnicą, że Niemcy, niemieccy oficerowie i technicy, organizują zbrojne siły Sowietów. „Nigdy — pisze Mereżkowski *) nie rządzili światem tak marni łajdacy, jak teraz, a mówiąc to, mam na myśli nietylko tych, co rządzą Rosją“.

Nikt przyszłej wojny nie wypowie, jak nie wypowiedziała jej Japonja w r. 1904. Nie bawiąc się w groźby, ani też grzecznie przeciwnika uprzedzając, że coś przeciw niemu zamyśla, zatopiła pewnego dnia trzy statki, stojące jej na drodze do Portu Artura. Tak też będzie w wojnie przyszłej. Stają mi w pamięci moje niegdyś rozmowy z jednym z naszych generałów. Coraz to nowe, dowodził on, wynalazki w zakresie niszczenia, groza straszliwych, granice wyobraźni przechodzących spustoszeń, które one czynić będą, wywołać muszą u tych, co przyszłą wojnę przygotowują, przeświadczenie o konieczności zaskoczenia nieprzyjaciela, zanim on zdobędzie się na jakąkolwiek inicjatywę. Bezpośrednim więc celem tego, kto będzie miał rozumną i twardą wolę zwycięstwa, będzie niespodziane i doszczętne zniszczenie stolicy wrogiego państwa ze wszystkimi jej zasobami w ludziach i rzeczach. Da się to dokonać bez trudności. W r. 1918, przy końcu wojny, znano koło

---

*) „Tajna trech“ („Tajemnica Trójcy“, Praga 1925, str. 63).

30 gatunków trujących gazów, dziś znają ich przeszło tysiąc, a najstraszniejszym w działaniu jest t. zw. fosgen: zaludniona przestrzeń, przez którąby przeszła fala fosgenu, zostałaby w ciągu kwadransa przeistoczoną w cmentarz. Przestrzeń Paryża wynosi 10.000 hektarów; ażeby ludność tego miasta wytępić, jak pluskwy, aż do ostatniej żywej istoty, wystarczy rzucić z rozmaitych punktów 10.000 ton fosgenu, a to wymagałoby przy dzisiejszym stanie awjacji nie więcej, jak pół godziny czasu. Do chemji dodajmy biologję z mikrobami dżumy, cholery i wszelkimi innymi zarazkami, dodajmy fizykę z działającemi na odległość elektro-magnetycznemi falami. Wszystko to razem jest jakby wskrzeszeniem czarnej magji w nowej a groźnej postaci *). Wiedzą o tem najfanatyczniejsi z Niemców, marzących o odwecie: wie Ludendorff, który napisał broszurę, ostrzegającą przed nową wojną, wie Hittler, który, wbrew powszechnie jemu przypisywanym poglądom i dążeniom, najwyraźniej ostrzega przed szaleństwem wiązania się z Sowietami przymierzem, gdy się wie, że celem ich jest także zniszczenie Niemiec narówni ze zniszczeniem wszystkich ognisk kultury i że te narzędzia wojny, które z Niemiec otrzymują Sowiety, przeciw Niemcom je zwrócą.

Złączmy się przeto, my wszyscy, którzy słyszymy szum zbliżającego się potopu i krzyczmy głośno, głośno, że przyszła wojna będzie końcem rodu ludzkiego; może się ludzie opamiętają, może wspólnemi siłami zamkną dostęp zarazie, może ubezwładnią i uśmiercą te czarne moce śmierci wiecznej i piekła, które w Moskwie siedlisko sobie obrały!

Daremne wołanie, a „wicher potopu świszcze we wszystkie szczeliny naszej europejskiej chaty“. Co robić? Budujmy — brzmi nie odpowiedź, nie rozwiązanie, lecz rozpaczliwy krzyk tonącego — budujmy sobie zawczasu Arkę, my nieliczni, ostatni! **).

---

*) Mereżkowski „Atlantyda — Europa“ (por. s. 11—13).
**) Op. c. s. 21.

Dwa podania o końcu pierwszej ludzkości doszły do nas: jedno, babilońskie, powtórzone w księgach Mojżeszowych, drugie, egipskie, o Atlantydzie, zapisane przez Platona. Porównanie Europy dzisiejszej z mityczną Atlantydą narzuciło się pisarzowi rosyjskiemu i zdaniem jego nie może się nie narzucać człowiekowi myślącemu, ale wraz z tem narzuca się także różnica: Atlantyda zginęła od potopu, czyli od przygody i siły zewnętrznej, będącej narzędziem kary Bożej, na Europę kara ta idzie zwewnątrz, to znaczy, że Europa sama ją sobie wymierzy, ginąc masową, samobójczą śmiercią.

Ale czy istniała Atlantyda? Z tej bajki czy mytu, w którą uwierzył Plato, śmieje się rozsądny, trzeźwy Arystoteles. Daremnie: „Dialektyka, to schody, które się chwieją i walą", a skrzydła mytu niosą na wyżyny, które ani się chwieją, ani walą, niosą dalej, niż wzrok sięga. Atlantydę widzi orle oko mytu *). Istnieniu zaś jej nie zaprzecza nauka; jest prawdopodobne, jeśli nie pewne, zdaniem wielu przyrodników, zwłaszcza geologów, których dzieła sumiennie przewertował Mereżkowski. „Wyspy Antylskie na dalekim Zachodzie — cytuje on jednego z nich — a Kanaryjskie i Azorskie na Wschodzie, są to wierzchołki gór, które zatonęły, wznoszą się nad oceanem niby słupy zburzonej świątyni" **). „Jak niema dymu bez ognia — dodaje Mereżkowski — tak niema mytu bez historji, myt jest zasłoną dla misterjum, pod zasłoną tą ukrył Plato świętą i straszną tajemnicę historji" ***); pisał on rzeczy metafizycznie wznioślejsze, ale nic tak tragicznie głębokiego, jak obydwa ustępy o Atlantydzie w Tymeosie i w Krytjaszu. Dreszczem trwogi przejęła go myśl o końcu, o rzeczach ostatecznych. Zdaje się, że widzimy, jak starcza ręka jego słabnie i drży, gdy kreśli ostatnie o tem słowa ****).

---

*) ib. s. 25.
**) op. c. str. 110.
***) ib. s. 33—35.
****) ib. s. 63—64.

Skąd ten strach? Leży on w naturze naszej. Każdy z nas wie, że jest skazany na śmierć i że umrzeć musi, ale umiemy przedziwnie o tem zapominać; obraz śmierci, własnej śmierci, nie mieści się nam w głowie nawet, gdy świadkami jesteśmy śmierci bliskich, znajomych osób. Zjechano się na pogrzeb z rozmaitych, nieraz dalekich stron, trzeba się skupić, czy udać skupienie w czasie żałobnego obrzędu, ale oto kończy się obrzęd, zmarły leży pod ziemią, za chwilę uczta pogrzebowa — i wszystkich ogarnia tryumfująca wesołość: on umarł, ale my żyjemy. Bardziej jeszcze obcą od śmierci indywidualnej jest myśl o śmierci powszechnej, o końcu historji i świata. Gdy myśl taka przyjdzie, nie wiemy, co z nią począć, ale przykro nam jakoś i straszno, trzeba ją odpędzić — i do hypotezy, być może prawdziwej, o nieskończonej ewolucji wciągamy świadomie fałszywą teorję nieskończonego postępu na ziemi, jakgdybyśmy nie wiedzieli, że świat ten miał początek i że mieć będzie koniec. „Gdyby mię zapytano — pisze Mereżkowski — co współczesnemu, cywilizowanemu europejczykowi wydaje się najbardziej obcem, dzikiem, niepojętem, odpowiedziałbym: Koniec“ *). Rosjaninowi zaś myśl o końcu, uczucie końca jest wrodzone, jak było wrodzone na przeciwległym, zachodnim krańcu Europy i stanowiło patos twórczości wielkiego Celta, Chateaubriand'a. Uczucie końca przenika całą literaturę rosyjską. Na literaturze tej i w szkole rosyjskiej wychowany, uczucie to rozumiem i nietylko rozumiem: znajduje ono żywy oddźwięk w duszy Litwina, według dawniejszej terminologji, ściślej mówiąc — Polaka, w którego żyłach, jeśli nie po mieczu, to po kądzieli, po matce, babkach i prababkach, niezawodnie więcej jest krwi białoruskiej, niż polskiej i wraz z tem dużo tego zabłąkanego marzycielstwa, które Ruś wniosła w pozytywnie, po ziemsku nastrojoną duszę polską. Pamiętam, jak wymownie niegdyś w kole przyjaciół rozwijał Henryk

*) op. c. s. 15.

Sienkiewicz swoją myśl o dwóch typach polskich. T w a r d y i w y t r w a ł y, z j a s n ą m y ś l ą i s i l n ą w o l ą, o t o c z o n y w r o g a m i, a n i e z m o r d o w a n y w w a l c e i u p a r t y w p o s t a n o w i e n i u, z b u d o w a ł P o l a k w w i e k a c h ś r e d n i c h p a ń s t w o s w o j e; a l e n a s t ą p i ł a u n j a z L i t w ą — i z m y s ł p a ń s t w o w y p o c z ą ł z a n i k a ć, r o z c i e ń c z y ł a s i ę m ę s k o ś ć o d n a p ł y w u o w y c h p i e r w i a s t k ó w, k t ó r e W s c h o d e m n a z y w a m y i w k t ó r y c h ł ą c z ą s i ę i k ł ó c ą k o n t r a s t y g ó r n o l o t n e g o m a r z e n i a i g n u ś n e j o b o j ę t n o ś c i n a z ł o, m i s t y c z n y c h w z l o t ó w i g r u b e g o m a t e r j a l i z m u, n i e w o l n i c z e j b i e r n o ś c i i a n a r c h i c z n e j s w a w o l i *).

Literatura rosyjska, ta dusza Rosji — pisze Mereżkowski — „jest eschatologją, religją Końca". W Mereżkowskim zaś eschatologiczne nastawienie myśli znalazło wyraz może nie najsilniejszy, ale najjaskrawszy. Mereżkowski zastanawia się, bada, rozmyśla, wyobraźnia jego leci w przyszłość, ale jej twory są to hypotezy, mające pod sobą głębokie podstawy erudycji, domysły i fantazje, ale nie wizje; nie staje on przed nami w roli proroka, czytającego w księgach przyszłości. Więcej czucia proroczego było u Dostojewskiego, ale było to zaciemnione ślepą nienawiścią do jednostek, do narodów, do wszystkiego, co nie jest albo rdzennie rosyjskie, albo przynajmniej gotowe do poddania się Rosji. U Rozanowa nie było powagi moralnej, cechującej Dostojewskiego, rzucał na papier wszystko, co mu się nasuwało pod pióro, obok myśli, porywających nieraz genjalną przenikliwością, błazeńskie wybryki; sam sobie co chwila przeczył i w tem się lubował. Prorokiem prawdzi-

---

*) Redakcja pozwala sobie specjalnie zwrócić łaskawą uwagę Czytelników na ten znakomity sąd wielkiego pisarza, tłomaczący tak wiele i z dzisiejszych naszych stosunków!

wym był ten, który tak doniosłe nadawał znaczenie pierwiastkowi proroczemu w życiu dziejowem i tak głęboko w swoje własne powołanie prorocze wierzył — Włodz. Sołowjew. Łączył w sobie głęboką wiedzę, polot wieszcza, skupienie mędrca, żarliwość apostoła. W przededniu śmierci, w roku już 1900, napisał wstrząsającą opowieść o Antychryście i Końcu historji. Wizje jego spełniają się jedna po drugiej. Zdawałoby się, że eschatologja pociągnąć może tylko ludzi religijnie myślących, albo, conajmniej, przejętych zagadnieniem religji, Turgeniew zaś stał poza wszelką religją, był agnostykiem; wśród pisarzy rosyjskich był najmniej rosyjskim, a najbardziej zachodnio-europejskim, był wrogiem stanowczym wszelkiego słowianofilstwa i nacjonalistycznego mesjanizmu, większą część życia spędził zagranicą, głównie w Paryżu, tam go ciągnęło serce, tam miał swoich bliskich i miłych przyjaciół: Flaubert'a, A. Daudet'a, braci Goncourt. A jaka jednak zmora ciążyła na nim — nie francuskie, nie europejskie, lecz głęboko rosyjskie uczucie Końca, jaka mistyczna, niezgodna z jego pozytywizmem trwoga wieje z jego „Wierszy prozą"!

Przypomnijmy rozmowę, którą prowadzą ze sobą dwa dziewicze wierzchołki Alp, albo ową chatę, gdzieś wśród stepów Rosji: noc, zebrało się w niej, niewiedzieć skąd, ludzi kilku; w niepokoju chodzą wzdłuż i wszerz, co chwila zaglądając do okna, jakby w oczekiwaniu czegoś strasznego. Kręci się między nimi jakiś chłopczyk: „Ojczulku, boję się" — woła... „I ja się zaczynam bać, sam nie wiem czego. Tylko czuję, że idzie, że zbliża się wielka, wielka bieda". Aż tu chłopak podskoczył do okna i krzyczy żałośnie: „Patrzcie, patrzcie, oto zawaliła się ziemia!". Tak, rzeczywiście zawaliła się; chata stała na równinie, teraz stoi jakby na wysokiej górze, nad bezdenną przepaścią, a z przepaści podnosi się woda, rośnie, zbliża się, to morze już ją zalało, pędzi do nas, wichrem mroźnym obejmuje, wszystko wokoło drży, huczy, szaleje. Wycie jakieś sły-

chać, to ziemia zawyła ze strachu; to koniec ziemi, koniec wszystkiego...

Eschatologja nie nastraja na nutę wesołą. Wśród wielkich myślicieli i pisarzy rosyjskich jeden jest tylko książę Eugenjusz Trubecki, dla którego myśl o końcu nie źródłem strachu była, lecz ukojeniem wielkiem w niezmiernym bólu. „Katastrofa, którą przeżywa Rosja — pisał on w przepięknej książce swojej „Zmysł Żizni“ — jest tak sprzeczna, że z tekstami Pisma św. w ręku moglibyśmy, ze wszystkimi pozorami prawdopodobieństwa, przepowiadać zbliżający się szybkim krokiem dzień Sądu Ostatecznego“. Tylko bliskość tę, zastrzegał się, rozumieć należy metafizycznie, nie zaś mierzyć ją po ludzku dniami i latami. Gdy się wali, rozwijał on myśl swoją, porządek społeczny, gdy w niwecz się obracają wszystkie wartości rzeczy znikomych i zmiennych i wraz z niemi wszystkie utopje, oznacza to, że królestwo Boże jest tuż za drzwiami, albowiem przez zerwanie z tem, co jest względne i utopijne, zbliżamy się do tego, co jest wieczne i absolutne: w wewnętrznym świecie człowieka dokonywa się przewrót, przenoszący wszystkie myśli, pragnienia i nadzieje z jednego planu bytu do innego, wyższego. Dlatego to myśl eschatologiczna, która nawiedza nas w epokach wstrząśnień, przygniatających ogromem nieszczęścia, jest, w pojęciu Trubeckiego, myślą radosną, brzmiącą wezwaniem do wytężenia sił wszystkich w budowaniu tego, co jest wieczne, bo bliski jest dzień, w którym wysiłki nasze uwieńczone będą koroną tryumfu w Królestwie Bożem.

Na przeciwległym krańcu stanął Mereżkowski. Możnaby pomyśleć, że to właśnie jakby przeczuł Turgenjew, wkładając swoje przerażone słowa do ust owego nieznanego wędrowca w owej tajemniczej chacie, w chwili ostatniej katastrofy, spadającej na ziemię. I nie dziwi nas przerażenie Mereżkowskiego, skoro o końcu Atlantydy pisze, jakgdyby własnemi oczami na to patrzał. Atlantyda Platona, to ów wiek złoty, za którym wzdychają poeci, to

rozkwit wszystkich duchowych zasobów człowieka, tryumf jego pomysłowości, wyraz magicznej jego władzy nad naturą: miasta ogromne, naokoło mury i wały olbrzymie, jakby przez cyklopów czy tytanów stawiane i sypane, kanały podziemne, które schroniskiem są dla okrętów, arsenały i koszary, miejsca dla igrzysk, szkoły i pałace, ogrody, wabiące „boskiem pięknem i wysokością drzew", wspaniała cisza Akropolu, skąd państwem swojem rządzi król Atlantydy, dobrobyt powszechny i pomyślność w tym raju ziemskim o ustroju komunistycznym, ale nie bolszewickim, t. j. bez terroru militarnego i policyjnego, stworzonym wspólnymi, szlachetnymi wysiłkami mężów, podobnych do bogów (andres theioi), którzy przyboczną Radę króla stanowią. I wszystko to nagle w nurtach oceanu zapadło! Dlaczego? Platon nie dość wyraźnie o tem mówi, wyraźniejszą jest księga Henocha *). Zginęli, bo wzbili się w pychę, wpadli w obłęd pychy i zdało się im, że są równi bogom, że przeto są ponad prawem, ponad dobrem i złem, więc pogrążyli się w rozpuście, że zaś każdy z osobna „miał się za Boga i gotów był wszystkich innych sobie w ofierze przynieść" **), więc powstali jeden przeciw drugiemu, zwarjował świat w wojnie wszystkich przeciw wszystkim, zwarjowała pierwsza ludzkość i Bóg w gniewie zmiótł ją z oblicza ziemi.

Dziś zwarjowała ludzkość druga, żyje rozpustą i wojną, musi spaść na nią kara, musi zginąć, ale zginie nie od potopu i nie od ognia z Nieba; narzędziem kary będą jej własne narzędzia, „czarna magja mechaniki", która podbiła naturę, opętańcy zaś, którzy, podbiwszy kraj, stanowiący szóstą część kuli ziemskiej, wypowiedzieli wojnę Bogu, będą biczem Bożym, aż sami legną pod zwaliskami zburzonego świata.

---

*) ib. s. 90, por. też r. IV s. 68—79.

**) ib. s. 150.

2.

Na tem mógłby Mereżkowski rzecz swoją zakończyć, gdyby wzięte z Platona podanie o Atlantydzie, zająwszy przypadkiem wyobraźnię jego, nasunęło mu porównanie Atlantydy ze światem dzisiejszym i gdyby pomysł ten uznał on godnym przelania na papier. Ale zestawienie obu światów nie jest czemś u autora przypadkowem. To intuicja, podsycana pracowitą i wszechstronną lekturą w zakresie historji i filozofji religji, w których myśl rosyjskiego pisarza stale przebywa — i intuicja ta staje się punktem wyjścia do szeregu rozmyślań i uwag o istocie religji i przeznaczeniu człowieka.

Pamięć o potopie przechowały wszystkie ludy starego i nowego świata, nigdzie zaś nie była tak żywą, jak w Ameryce środkowej. Jeden ze staro-meksykańskich kodeksów ustanawia 8-dniowy post raz na cztery lata „na pamiątkę tego, że świat trzy razy zginął“ *). „O Boże — czytamy tam — zmiłuj się nad nami i nie chciej nas gubić!“. Czy nie wolno w tem widzieć dowodu, czy jednego z dowodów, że tajemnicze co do pochodzenia swego cywilizacje Meksyku i Peru są w związku z Atlantydą, że początek im dać mogli zbiegowie, którzy zdołali ujść cało z powszechnej katastrofy? Potop był oczywiście w pojęciu powszechnem karą Bożą. Bóg jest wszechmocny i gniewny; trzeba go przebłagać ofiarą, ale jaką? Ofiarą z siebie. Wieki chrześcijańskiego wychowania wpoiły to w nas, że Bóg jest przedewszystkiem Miłością i że niemasz dla Boga ofiary milszej, jak serce, miłujące Go i czyste, albo serce, skruszone żalem za grzechy i uniżone. (Cor humiliatum et contritum Deus non despicies).

Ale nie odrazu wzniosła się myśl ludzka na tę wysokość, jeśli zaś uznać, że było to objawione człowiekowi z wyżej, to objawienie owo odrzucił on, albo o niem za-

---

*) ib. s. 120.

pomniał, czyli odpadł od Boga, a odpadłszy, usiłuje powoli drogą trudów i cierpień i łez do Niego wrócić. Rzecz dziwna, że tę koncepcję stosunku człowieka do Boga, prostszą w swej treści i głębszą od wszystkich innych, streszczoną w dogmacie o grzechu pierworodnym, Mereżkowski pomija, ale tem straszniejszą staje się w jego ujęciu religja, nie ta, którą my wyznajemy, uszlachetniona, oczyszczona i uświęcona, lecz w pierwotnych postaciach swoich, zakrwawionych krwią niewinnych ofiar. Ponieważ ofiarować Bogu powinien człowiek to, co mu jest najdroższe, więc niechże zaczyna od swego własnego potomstwa (ofiara Abrachama), albo od wrogów swego plemienia czy rodu, którzy tem samem są wrogami Boga lub bogów prawdziwych, których on wyznaje.

Nigdzie perwersja religji, która, wyobrażając sobie, że oddaje cześć Bogu, bije czołem przed antytezą Boga, djabłem, nie dosięgła rozmiarów tak obrzydliwie strasznych, jak w starożytnej Ameryce, w Meksyku. W nocy — opowiada Mereżkowski *) — przy świetle pochodni kapłan, obwinięty w płaszcz czarny i z czarnem pokryciem na głowie, prowadzi przeznaczoną Bogu ofiarę po schodach olbrzymiej, piramidalnej świątyni, aż na sam jej szczyt, do kaplicy Boga - Słońca (Huitrilopochtti). Tam ofiarę tę, ze spętanemi rękami i nogami, układa na kamieniu - monolicie, tak, że z jednej strony zwisły jej ręce, nogi z drugiej, poczem wbija jej w pierś nóż z krzemienia i wyjąwszy żywe, drgające jeszcze serce, pali je na ogniu, krwią jego smaruje usta okrutnego Boga i skrapia ściany świątyni. 80.000 ofiar ludzkich padło z okazji poświęcenia głównej świątyni w stolicy państwa, przeciętna zaś ich liczba w ciągu roku wynosiła 50.000. Uroczyste procesje ofiar rozciągały się na przestrzeni kilku kilometrów, kilka dni trwało zarzynanie ich, wznoszono góry z czaszek ludzkich. „Mniej śmierdzą — pisze podróżnik hiszpański —

*) ib. por. s. 137—142.

nasze rzeźnie w Kastylji, niż świątynie te ze ścianami, pokrytemi krwią spiekłą i podłogami, zalanemi krwią płynącą". Wojny, które prowadził Meksyk, były na wielką skalę łowami na ludzi, chodziło o jak największą ilość jeńców, o ich ciepłe, żywe serca, ażeby dogodzić chciwemu krwi bogu. W tych krwawych hekatombach ludzkich okrucieństwo kojarzyło się, jak świadczą rysunki ówczesne, z najobrzydliwszą lubieżnością, jedno zaś łącznie z drugiem miało swój ukryty mistyczny sens, było teofagją, wejściem w ścisłą jedność z bogiem przez picie tejże krwi, którą on wypijał. Czy te krwawe orgje na cześć krwiożerczych bogów nie dowodzą, że naród cały zwarjował i że w obłędzie tym wydało mu się jasnem, jak dwa razy dwa równa się cztery, że Bóg jest djabłem? *) Wśród znamion zaś owych bogów spotykamy krzyż w świątyni Palanque, widzimy go na głowie rogatego boga, podobnego do Minotaura; na krzyżu siedzi potworny jakiś bóg - ptak z ogonem cietrzewia, szponami kondora i głową tapira; na uroczystościach boga Tlaloka krzyżowano człowieka i dobijano go pałkami, a krzyż, do którego był przybity, nazywał się drzewem życia! Hiszpanie, widząc tyle krzyży, radowali się zrazu, wnosząc stąd, że aż do Meksyku dotarł św. apostoł Tomasz, ale gdy się przyjrzeli, ogarnął ich strach: czy nie było to sparodjowanem, przewróconem odbiciem Chrześcijaństwa w jakiemś djabelskiem zwierciadle, bo tylko djabeł mógł tak sprofanować krzyż Pański! **).

Złagodzimy ponury ten obraz, dodając, że znał Meksyk także dobrego Osirisa, pod nazwą Quetzalcoatt, boga zarazem i człowieka, bo jako człowiek się narodził, a czysty był i niewinny, jak dziecko, nauczał ludzi miłować się wzajemnie, bogom zaś przynosić niekrwawe: kadzidła, kwiaty, owoce i własne, wolne od skazy serca. Stwarzał on raj na ziemi, ale źli bogowie namówili złego

---

*) ib. s. 523.
**) ib. s. 141.

czarownika, aby ludzi przeciw niemu podburzył. Wtedy odszedł on od nich tam, skąd przyszedł, do kraju wschodzącego słońca za oceanem. Przechowało się o nim podanie, że był biały i długą miał brodę — i gdy ujrzeli Meksykanie Corteza i jego towarzyszy, przyjęli ich z radością, sądząc, że od niego przyszli. Ale Hiszpanie poczęli ograbiać ich, męczyć, zabijać; „czy nie przelękli się wtedy krzyża chrześcijańskiego, jak przybysze - chrześcijanie przelękli się ich pogańskich krzyżów?“ *).

Słowem, z obrazu, jaki nam dał Mereżkowski, wynikałoby, że religje nietylko nie są wyrazem wyższych pierwiastków ducha ludzkiego, ale przeciwnie, są szałem dzikim i krwawym, przekleństwem i nieszczęściem. Jekżeż wyjść z szału tego obłędu? Bóg sam znalazł dla nas środek; tym środkiem — krwawa ofiara Syna Bożego. Ale, rozumuje autor, zastanówcie się nad tem: „Syn Ojcu krew swoją ofiarował, Ojciec krew Syna przyjął, Ojciec zaś i Syn są jedno, czyli Bóg siebie zamęcza i tem człowieka zbawia! Nie dość tego: ciało i krew Bożego Syna w mistycznej ofierze spożywamy: caro, cibus, sanguis, potus; aby coś podobnego wyobrazić sobie, trzeba wpierw oszaleć i rzeczywiście ludzie szaleli od początku i szaleć będą aż do końca“ **).

Słowa te mogą w pierwszej chwili wydać się bluźnierstwem, ale w rzeczywistości streszczają, nadając temu formę prowokującego paradoksu, mistyczny hymn kościelny: Quod non capis, quod non vides — animosa firmat fides — praeter rerum ordinem. I wszak potem dodaje autor, że szaleństwo tu nie jest szaleństwem, nie jest przypadkową halucynacją kilku jednostek, ale od początku żyje to w świadomości człowieka; dowodem tego są misterja starożytne.

W poprzedniej swojej pracy „Tajemnica trzech“ (1925) Mereżkowski przedstawił misterja Egiptu i Babilonu. Cała jego twórczość literacka świadczy — przypomnijmy „Cara

*) ib. s. 148.
**) ib. s. 426.

Piotra" i „Aleksego" — o zdumiewającej przenikliwości, z jaką on się wgłębiać i wczuwać umie nietylko w istotę religji, ale i we wszelkie zboczenia uczucia religijnego. Podobnież i tym razem, mówiąc o misterjach Wschodu, bez odrazy wprowadził nas w ich odrażające szczegóły, ponieważ i one służyć miały do uwypuklenia ich myśli przewodniej, streszczającej się w śmierci i zmartwychwstaniu Boga *): „Na 3.000 lat przed Chrystusem uczestnicy ich wiedzieli więcej o nim, niż ci wszyscy, co go dziś odrzucają" **). W Atlantydzie mamy obraz misterjów Grecji. Jeśli Hellenizm jest wierzchołkiem świata starożytnego, a szczytem jego najwyższym — Ateny, największą zaś rzeczą, jaką Ateny stworzyły, są misterja Eleuzyńskie ***), obdarzające nas, jak to stwierdził nie entuzjasta jakiś, lecz rozumny, trzeźwy Cyceron, nietylko radością życia, ale i nadzieją śmierci, lepszej jeszcze, niż życie ****), to uznać należy owe misterja za ukoronowanie i zakończenie rozwoju religijnego przedchrześcijańskiej ludzkości. Misterjum cierpiącego boga rozciągnęło się, niby cień olbrzymi, przez wszystkie wieki i narody, ażeby lec u stóp Chrystusa. Pogańscy przodkowie nasi „wiedzieli, że Chrystus będzie tak, jak my wiemy, że on był". Słusznie więc twierdzi Zieliński, że „prawdziwym starym zakonem naszego chrześcijaństwa jest religja Hellenów" *****). Patrząc na poruszający się na białej ścianie czarny cień człowieka, możemy nietylko poznać samego tego człowieka, ale i to, co on robi; podobnież według symbolów, które mamy w starożytnych misterjach, poznajemy nietylko samego Chrystusa, ale i to, co on dokonać miał. Ten „rzucony wstecz, aż do początku świata, do Atlantydy, cień jest czemś tak niewypowiedzianie dziwnem, cudownem, że ludzie niewierzący, spostrzegłszy to, zrozumieli, że zostawało im do wyboru

---

*) „Tajemnica trójcy" (Tajna trech), por. s. 360—7.
**) ib. s. 156.
***) „Atlantyda", ib. s. 380—382.
****) ib. s. 514.
*****) Por. „Hellenizm a Judeizm" (Warszawa, 1927).

jedno z dwojga: albo uwierzyć w cud, albo spróbować zniszczyć samo to ciało, co rzuciło cień — historyczną postać Chrystusa“. Próbowano tego, ale zapomocą środków tak niegodnych, że mogły one przekonać tylko ślepych fanatyków, albo ludzi źle rozumujących, co to jest historja?... Czy Chrystus był? Pytanie to mogło przyjść odrazu do głowy takim tylko, których rozum już przedtem zaćmiewało pragnienie, aby Chrystusa nie było. Cud Chrystusowy w starożytnych misterjach był dla nich takiem bielmem na oku, że woleli odrzucić historję, niż ją przyjąć z tym cudem *). Słowem, „w Chrystusie zawarło się misterjum historji. Ja jestem Alfą i Omegą, początkiem i końcem“. Ale czy słowa te, wypływające z toku myśli Mereżkowskiego, czy to przeświadczenie o prawdzie Chrześcijaństwa, które z taką energją przekonania wygłasza, jest rzeczywistem dla myśli jego i duszy ukojeniem? Może się mylę, ale z dzieła jego odnoszę nieraz wrażenie, że w głębi duszy onby wolał, aby to, co jako prawdę uznał i głosi, prawdą nie było; sposób, w jaki on prawdę tę przedstawia, nie ukojeniem, lecz nieraz obrzydzeniem, a zawsze dreszczem niepokoju przejmuje czytelnika. Po przeczytaniu „Atlantydy“ chciałoby się zapomnieć o tem, rozwiać posępne obrazy i myśli, które w miarę czytania nagromadziły się w duszy, chciałoby się iść gdzieś w pole, w las, położyć się w cieniu, wsłuchać się w ciche szumy drzew; niech swą cichą pieśnią kołyszą, niechaj niosą owe rzeczywiste, głębokie ukojenie półsnu, półistnienia, wiekuistego przechodzenia z pamięci w niepamięć, z bytu w niebyt... Ale życie woła. Przyjęliśmy tajemnicę religji — i przyjąwszy to, co ze stanowiska pospolitego rozsądku wydaje się szaleństwem, „przyjmijmy także jej mądrość, jej ekstazę“ **). I zapominając o głębiach i wysokościach życia religijnego, kwitnącego w zakonach kontemplacyjnych, Me-

*) ib. s. 514—515.
**) ib. s. 450.

reżkowski wygłasza, że chcieć dać uczuć człowiekowi nowoczesnemu istotę ekstazy jest rzeczą równie daremną, jak ślepemu z urodzenia mówić o słońcu. Zamiast szukania szczęścia w Bogu, widzimy kult djabła, świadomy w mszach czarnych, nawpół świadomy w teozofji, tej „półbogini, półłajdaczce“, nie uświadomiony u tych, co chcą wojny czyli nowych krwawych ofiar miljonów ludzi na cześć Molocha.

Orgje rozpusty i orgje okrucieństw: ludzie zawsze i wszędzie wojowali, a część ich zawsze i wszędzie szukała Sodomy, ale takiej wojny, jak ostatnia i takiej Sodomy, jak ta, na którą dziś patrzymy, nigdy i nigdzie dotychczas nie było *). Dobre te stare i zapomniane czasy, gdy młode wyobraźnie porywali rozkochany Romeo, wesoły uwodziciel Don Juan, melancholijny Werter, dumny świadomością swej wyższości i sił, którym za ciasno na świecie, René, wraz z plejadą bohaterów Byronowskich. „Bohaterem czasów naszych“ jest Charles Proust, ten wykwit kultury, „którą dawniej chrześcijańską, dziś europejską nazywa“; wykształcony, wytworny, utalentowany, schodzi on aż na dno upadku moralnego. Należy do gatunku ludzi, który choć de jure wykluczony ze społeczności, jest wszędzie i stale się rozmnaża; ma wiernych swoich w społeczeństwie, w wojsku, w kościele, na tronach i w katorgach: „Nie byłoby dziś potrzeby odbudowywania zburzonej Sodomy, gdyby to komu do głowy przyszło; Sodomę widzimy wszędzie“.

I nie byłby autor Rosjaninem, gdyby przy sposobności tej nie poruszył zagadnienia płci. Poświęcił temu połowę dzieła. Pomijam to, a przytaczam konkluzję: rozpusta i wojna, niby dwa końce jednego sznura — „zbliżają się, aby się złączyć w pętlę śmierci na karku drugiej ludzkości tak, jak niegdyś pierwszą ludzkość uśmierciły“ **). „Była Atlantyda, będzie Apokalijpeis“ ***).

---

*) ib. s. 199.

**) ib. s. 211.

***) ib. s. 187.

A co Kościół na to? Świat drży ze strachu przed prawdą i Bogiem, Kościół przestraszył się przestraszonego i z Niebem pokłóconego świata. „Proch i pył“ — pokarmem zmarłych w staro-babilońskiem piekle. Dwa tysiące lat przyzwyczajenia zrobiły to, że dla chrześcijan dzisiejszych prawda Chrystusowa — straszno to wymówić — jest pokarmem dla zmarłych, prochem i pyłem...“ *)

Więc niema nadziei, ale jakże trudno z beznadziejnością się pogodzić?

„Kończę książkę tę o Atlantydzie - Europie — czytamy na początku ostatniego rozdziału **) — w święto Bożego Narodzenia, nad brzegiem Śródziemnego morza, u stóp Alp Liguryjskich. Są to najrozkoszniejsze dnie roku, cicho, jak w Raju, cichem, pogodnem latem pachną aleje cyprysowe. Różowe, śnieżne wierzchołki Alp toną w nieziemskiem jakiemś świetle, niby chwale Przemienienia. Zdaje się, że wiek złoty gdzieś się tu ukrył w tych rajskich dolinach, że Niebo schodzi na ziemię, jakbyby na ziemi już się wszystko skończyło i gotowe było do przyjęcia Królestwa Bożego. Serce tu wierzy w złoty sen ludzkości, w wiek złoty, ten, co był i ten, który będzie i płakać się chce z radości i ze smutku: radość stąd, że wszystko to było i jeszcze będzie, smutek — że było to tak dawno i będzie tak nieprędko“.

Bawiąc w Paryżu z powodu 400-lecia Collège de France, odwiedziłem Mereżkowskiego. Niewielu spotykałem ludzi, tak niepospolicie sympatycznych w obcowaniu i tak niezrównanie świetnych w rozmowie. Przy rozstaniu, jak zawsze, gdzie i kiedy znowu się spotkamy? „Może w Wilnie — mówił, śmiejąc się, Mereżkowski. — Zatrzymamy się tam, gdy wracać będziemy do Petersburga“. — Podchwyciła to jego małżonka, niepospolicie utalentowana polska i litewska Lenaida Hippius: „Czy to możliwe? Jak Pan sądzi? Pan miewa nieraz tak trafne przeczucia czy

---

*) ib. s. 528.

**) ib. s. 508—509 (przytaczam to w skróceniu).

przewidywania". — „Niestety, uczucie końca, choć Polak, mam niemniej żywe i głębokie, niż Rosjanin Mereżkowski, to zaś, na co się patrzy i co się widzi, w uczuciu tem utwierdza. Tam świadome i fantastyczne poddanie się ciemnym mocom historji, konkretniej mówiąc, osobie czy idei djabła, potężna w tym celu organizacja fanatyzmu, która, dzięki potędze tej, nietylko tam, ale i u nas pociągnąć umie i opętać umysły młode, nie kultem djabła — wyraz ten niejednego odstrasza — lecz kultem maszyny, na miejscu, opróżnionem przez Boga, postawionej, w której jednostka ludzka jest bezmyślnem, bezwolnem kółkiem, nakręcanem, jak zegar, w oznaczonej porze na oznaczony czas. Z naszej zaś strony żadnego celu, żadnej idei, wieża Babel narodów i języków, każdy czegoś innego chce, a wszyscy tylko jedno mają w głowie: coś im tam, w Sowietach, zbyć, choćby na kredyt, choćby tylko cząstkę długu zapłacić mieli. Czy nie nasuwa to rozpaczliwego wniosku, że zwycięstwo należeć musi do tych, co wiedzą, czego chcą, że przeto"... „Wspomniałeś Pan — przerwał mi Mereżkowski — o kulcie maszyny i człowieka - automatu, który w maszynie tej jest kółkiem. Dodam, że ta nowa religja, czy raczej antyreligja, jest wstrętniejszą jemu, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. To gorzej, niż materjalizm, to żądza pozbycia się swego ja (wola bezliczności), nie być sobą — w tem się streszcza dziś wola nasza *). I gdyby w tem była odrobina poezji panteistycznego rozpływania się i zatracania w pięknie nieskończonego wszechświata, albo, jak w budyźmie i u Schopenhauera, poważny, surowy wysiłek woli, wyzwalającej się z jarzma cierpienia i bytu! Nic podobnego, to obrzydliwa karykatura i panteizmu i buddyzmu, to zamach na istotę człowieka, na jego godność i szczęście:

Höchstes Glück der Erdekinder
Sei nur die Persönlickeit...

*) Niedawno wyszła powieść, wysławiająca przyszłą automatyzację cywilizacji i człowieka-automata — Fokko: „Das Automatenzeitalter", Amaltea Verlag, str. 904.

powiedział Goethe i jakby w przeczuciu dzisiejszej epoki i uosabiającego ją bolszewika, czy bolszewizmem zarażonego półbolszewika, dodawał:

> Alles könne man verlieren,
> Wenn man bleibe, was man ist!

T a k, l e p i e j w s z y s t k o s t r a c i ć, n i ż p r z e s t a ć b y ć s o b ą, c z ł o w i e k i e m ż y w y m, z d u s z ą, m y ś l ą, w o l ą. Wpierw poczuć muszę, że ja j e s t e m, zanim poczuję i powiem, że jest Bóg. Ale z wyżyn człowieczeństwa spadamy ze wzrastającą szybkością rzuconego kamienia w otchłań nicości. „Jak pusto, jak straszno na tym Bożym świecie!“ — mówił Gogol. Takiej jednak pustki, takiego opuszczenia, jak dziś, nie było jeszcze od początku świata. A czy nie świadczy to o końcu historji? Czy możliwość powrotu do Petersburga nie jest w sprzeczności ze wszystkiem, co przemyślałeś Pan i napisałeś? Chyba to jedno na pociechę powiedziećby można, że logiczność przepowiedni nie jest jeszcze dowodem jej przyszłego urzeczywistnienia: logika historją nie rządzi“. „A zatem nie traćmy jeszcze nadziei, może spotkamy się w Wilnie“.

Prof. Dr. Marjan Zdziechowski.

Aby zapobiec zgóry jakimkolwiek nieporozumieniom, któreby mogły wzbudzić się ewentualnie w umysłach niektórych czytelników, mniej przyzwyczajonych do operowania religijno-filozoficznymi pojęciami, stanowiącemi podłoże artykułu o tak wysokim poziomie, jak powyższy, uważamy za wskazane zaznaczyć, że przytoczone przez p. prof. Zdziechowskiego uwagi Mereżkowskiego zamieszczone tu zostały oczywiście tylko jako bardzo ciekawy i pod niejednym względem słuszny produkt jego rozważań i wogóle produkt pewnego odłamu rosyjskiej psychiki —

nie zaś jakobyśmy mieli uważać je za bezwzględnie słuszne i zgodne z ideologją katolicką.

Tak oczywiście nie jest. Np. krwawe ofiary, o których Mereżkowski wspomina, nie mają nawet historjozoficznie nic wspólnego z Ofiarą Nowego Testamentu, nie mówiąc już o jej stronie dogmatycznej. Ofiary te tłomaczą się najoczywiściej w pierwszym rzędzie pewnego rodzaju polityką terroru, zapomocą której kasty kapłańskie utrzymywały autorytet własny i swej religji u wielu ludów, a u niektórych nawet po dzień dzisiejszy. Wszak z tego źródła pochodzą różne współczesne „próby" i praktyki, stosowane przez kasty kapłanów czy czarodziejów wśród dzisiejszych ludów dzikich lub zacofanych; mają one całkiem widocznie na celu albo utrudnienie dostępu do tych kast kandydatom, albo podtrzymanie kapłańskiego autorytetu terrorem, pochodzącym rzekomo ze strony bóstwa. Zresztą polityka terroru była i bywa dziś jeszcze stosowana nietylko przez kasty kapłańskie w prymitywnych społeczeństwach, ale częstokroć także i przez świeckie rządy w krajach o znacznie wyższej kulturze!

Dlatego też w pogańskich krwawych ofiarach nie znajdujemy żadnych mistycznych pierwiastków.

Powtóre dla nas, katolików i ludzi o t. zw. zachodniej kulturze, religja nietylko nie przedstawia się i nie może przedstawiać się w tak ponurej postaci, w jakiej nasuwają się jej zagadnienia „wschodniej" duszy Mereżkowskiego, ale wprost przeciwnie: kontemplacja religijna bywa z reguły ukojeniem i uspokojeniem dla katolika, skruszonego lub dotkniętego ciosami życia. Zbędnem byłoby tu wykazywać, że właśnie katolicka myśl religijna stanowiła i stanowi zawsze ostateczne i najpewniejsze schronienie nawet dla najgorszych rozbitków. Rzecz to znana, dowiedziona i uznana od blisko dwóch tysięcy lat. Nas religja nie przejmuje dreszczem, ani nie nasuwa nam różnych złowrogich łamańców ideologicznych, bo kto wierzy w słowa Ewan-

gelji, temu są one dostatecznie proste, zrozumiałe i jakże kojące! Naturalnie, kto nie wierzy, to co innego...

Najważniejszy natomiast — ale zato praktyczny — sens powyższego artykułu leży dla nas w zdecydowanem napiętnowaniu owej polityki „kompromisu z djabłem", stosowanej niestety przez sfery dyplomatyczne i gospodarcze „chrześcijańskiej" cywilizacji zachodniej wobec Sowietów. Tu rzec można istotnie: świat zwarjował! Tak, zwarjował, bo przykłada równą miarę polityczną i gospodarczą do stosunków z Sowietami, jak do innych stosunków międzynarodowych. Dyplomatom wydaje się ciągle jeszcze, że powiedzie im się ustalić „poprawne stosunki" między ich krajami a sowiecką organizacją stałego, „pryncypialnego" wywrotu. Łudzą się tem, bo nie uznają w sztuce dyplomatycznej jednego, zasadniczego pojęcia: moralności. Uznają tylko suchy utylitaryzm. A ten właśnie brak moralności wiedzie cywilizowaną dyplomację na oczywiste bezdroża, na których także i jej utylitarystyczne cele stopniowo rozpaść się muszą. Podobnie i sfery gospodarcze. Im się zdaje wciąż jeszcze, że ów legendarny kupiec, co to w średnich wiekach torował drogę cywilizacji wśród najdzikszych ludów, stworzy i dzisiaj złoty pomost między wschodem a zachodem Europy. Łudzi się tem kupiec niemiecki, francuski, angielski, włoski, a bodajże i amerykański, a co gorsza dla nas, łudzi się tem i kupiec polski. Łudzi się aż do zabawnej, a niebezpiecznej szczerości, z jaką uzasadnia „konieczność handlu z Sowietami".

Wszelkie względy moralno-polityczne i moralno-społeczne są tu zupełnie na bok usunięte, jako „nierealne", „niekupieckie". Uprawia się handel z bolszewikami, prawi się z tryumfem o „dobrych, sąsiedzkich" z nimi stosunkach, jakgdyby chodziło o wymianę handlową z jakimś królikiem murzyńskim, który ongiś sprzedawał kość słoniową i złoto wzamian za świecidełka i stare cylindry.

Niestety, Bolszewja nie jest dzikim krajem w powyższem znaczeniu. Śmieją się też po cichu jej władcy —

i słusznie — z niebywałej w dziejach naiwności polityków i kupców „zgniłego“ zachodu, którzy dokładają wszelkich starań, aby dostarczyć Sowietom środków do wzmocnienia ich panowania, ich przemysłu, rolnictwa, propagandy, doktryny, no i — armat, które prędzej czy później wycelowane zostaną na zburzenie zachodniej kultury.

Takiego zjawiska, takiego zaślepienia, tak samobójczej polityki zaprawdę świat jeszcze nie widział. Nic też dziwnego, że różnym myślicielom nasuwają się przypuszczenia, że świat chyba zwarjował, dotknięty jakąś mistyczną sugestją ciemnych mocy!

Redakcja.

CZY ZMIERZAMY DO KOMUNIZMU?

Żadnego niebezpieczeństwa, którego groza zdaje nam się w danych momentach nasuwać, nie trzeba przesadzać, ale nie trzeba go także i lekceważyć. Trzeba zdać sobie spokojnie i możliwie objektywnie sprawę z jego właściwych rozmiarów i z jego prawdopodobnych konsekwencji.

Dotyczy to w pierwszym rzędzie naszego stosunku do bolszewizmu. A chodzi mi w tym wypadku nie o nasz stosunek do Rosji Sowieckiej i do zagadnienia grożącego stamtąd ewentualnie politycznego niebezpieczeństwa — ale o kwestję naszego domowego komunizmu, transplantowanego do nas wprawdzie z Rosji, a jeszcze wcześniej potrosze i z niemieckiej nauki, ale rozwijającego się u nas obecnie już w sposób całkiem swoisty i tembardziej właśnie niebezpieczny. Bo pół biedy jeszcze, dopóki jakaś idea wywrotowa bywa u nas tylko importowanym egzotykiem i ujawnia się w czerwonych transparentach, wywieszanych przez płatnych żydków lub łobuzów na przedmieściach, zamieszkałych przez proletarjat; prawdziwe niebezpieczeństwo rozpoczyna się dopiero z chwilą, gdy dana doktryna wywrotowa zaczyna być — mimo całej swej grozy — po cichu, aczkolwiek z różnemi zastrzeżeniami, jakgdyby uznawaną przez nieco poważniejsze sfery społeczeństwa, usprawiedliwianą przez nie okolicznościami, a wreszcie argumentowaną „naukowo" przez uczonych i „statystów" różnego kalibru.

A w to właśnie już stadjum zaczyna wkraczać u nas ogólna idea komunizmu. Stwierdzam to kategorycznie i otwarcie na podstawie ciągłego praktycznego doświadczenia, ciągłego kontaktu z ludźmi, skądinąd bardzo nawet rozumnymi, bardzo (może za bardzo?) wykształconymi, ba,

nawet uważającymi się za uczonych i przewidujących polityków i ekonomistów!

Od dłuższego więc już czasu konstatuję ten pochód idei komunistycznej — a raczej uginania się przed tą ideą — najprzód wśród młodszego pokolenia w Polsce i to nawet wśród pokolenia o zasadach katolickich, zachowawczych i „mocarstwowych". Na szczęście, są to jeszcze dopiero wyjątki. Niemniej jednak słychać z tych młodych sfer co pewien czas pomruk: „W Polsce bałagan i romantyzm, na zachodzie zakostniała, strupieszała, zmaterjalizowana do cna dyplomacja, okłamująca siebie nawzajem, bez uczciwego programu, ani realnej myśli o jutrze, a przedewszystkiem bez żadnej twórczej idei — podczas gdy tam, na wschodzie, rozwija się i buduje olbrzymie państwo, potężna idea, straszna coprawda, ale imponująca swą celowością i żelazną konsekwencją. Tam rodzi się i tworzy nowy porządek świata, który prędzej czy później nim zawładnie, tak, jak zawładnęły światem sto lat temu demokratyczne, wyzwoleńcze idee jakobińskie!" Oto, co słychać szeptem wśród młodzieży, powtarzam: nawet wśród młodzieży katolickiej, zachowawczej i „mocarstwowej".

A wśród starszych, dumnych na swą uczoność i doświadczenie życiowe? Mam tu na myśli znowu nietylko radykałów, bo tym mniejby się można dziwić, ale w pierwszym rzędzie różnych, naogół konserwatywnie myślących prawników, ekonomistów, polityków, socjologów, zajmujących nieraz wybitne i wpływowe stanowiska w społeczeństwie. Na publicznych przemówieniach słyszymy z ich ust oczywiście bezwzględne słowa potępienia dla bolszewizmu i komunizmu wogóle, widzimy niejednego z nich jako członka takiej czy owakiej „ligi antybolszewickiej". Ale całkiem co innego słyszymy od nich w cztery oczy, a nawet już i w nieco liczniejszej, byle poufnej kompanji. Słyszymy tam z ust ludzi wytrawnych, politycznie umiarkowanych i zamożnych mniejwięcej takie opinje:

„To trudno, ale pogodzić się trzeba z nieuchronną ewo-

lucją ekonomiczno-społeczną! Świat ubożeje, zagadnienia społeczne i gospodarcze stają się coraz trudniejsze do rozwiązania na dotychczasowej platformie gospodarstwa indywidualistycznego i ustroju własności prywatnej. Dlatego wchodzimy w fazę coraz szerszego etatyzmu, a w nieuchronnej konsekwencji znajdziemy się za lat kilkanaście lub kilkadziesiąt w ustroju mniejwięcej komunistycznym. To nieuniknione! Chodzi tylko o to, aby rozważne sfery społeczeństwa hamowały ten proces o tyle, aby odbył się drogą nie rewolucyjną, lecz ewolucyjną. Zresztą teorja prawa własności prywatnej już i tak bardzo jest zachwiana i wątpliwa i to nietylko z praktyczno - politycznego, ale i z naukowego punktu widzenia. Musimy przygotować się na to, że za lat... (tyle a tyle, zależnie od temperamentu mówcy) własność prywatna w Polsce i na całym świecie istnieć przestanie (oczywiście za odpowiedniem odszkodowaniem! Złośliwy dopisek Redakcji). Zmierzamy bezwzględnie w kierunku umiarkowanego leninizmu!"

Takie oto horrenda (żeby nie rzec niegrzecznie: absurda) słyszy się coraz głośniej z ust, z których możnaby się spodziewać czegoś wprost przeciwnego. Nie chcę zagłębiać się w tę sprawę, ani cytować nazwisk tych propagatorów „nieuchronnego leninizmu", gdyż czytelnik chwyciłby się za głowę i spytałby zdumiony: Na kimże więc może się jeszcze oprzeć zdrowa myśl społeczna, gospodarcza i państwowa, skoro nawet tacy ludzie stają faktycznie po stronie kollektywizmu w teorji, a więc bolszewizmu w praktyce?! Czyż istotnie mają rację bolszewicy (czytaj poprostu: Moskale! — tym razem nie złośliwy, ale bardzo trzeźwy dopisek Redakcji), głosząc bliski upadek kapitalistyczJej gospodarki „zgniłego zachodu"?

Oj, nietyle ten zachód jest zgniły, ile przegniłe są skrajnym oportunizmem mózgi różnych sfer posiadających i „uczonych". Wszak wiadomo, że zbytniej „książkowej nauki" nie jest w stanie wytrzymać bez szkody każdy umysł. Nawet bardzo wykształcony i zrównoważony

człowiek, jeżeli nazbyt zagłębi się w wielotowych elukubracjach i konceptach różnych zagranicznych „profesorów", zaniedbując pilną a trzeźwą obserwację rzeczywistości i życia bieżącego, to w końcu nastąpić musi u niego „przepracowanie" umysłu. Zaczyna lekceważyć sobie rzeczywistość, a wgłębiony w abstrakcyjne djatryby uczonych z Bonn, Monachjum, Sorbonny czy Oxfordu, które mu strasznie imponują, zaczyna w końcu... mówić od rzeczy!

Ale mniejsza o niego, a natomiast prawdziwe niebezpieczeństwo społeczne leży w tem, że takie teorje i proroctwa słyszą coraz szersze sfery polskiej inteligencji, zbiedzonej kryzysem politycznym i gospodarczym i potrzebującej przecież jakichś męskich słów otuchy i zachęty ze strony naszej elity umysłowej, z której zdaniem — mimo różnych przeciwieńst politycznych i socjalnych — jednak w wysokim stopniu się liczą. Ale jakąż rypostę można dać owym żydkom-komunistom z Nalewek, kiedy każdy z nich może się wymówić: „Wszak wasi uczeni są tego samego, co my, zdania!"

I na co zdadzą się wszelkie nasze wysiłki w kierunku reformy ustroju, załagodzenia kryzysu gospodarczego lub walki z bolszewizmem, kiedy nietylko radykalna inteligencja, ale nawet coraz liczniejsze jednostki najwyższego, umiarkowanego intelektu argumentują całą swą wiedzą prawniczą i ekonomiczną nieuchronny marsz w kierunku leninizmu, uspakajając nas oczywiście, że marsz ten odbędzie się bezkrwawo!

Poprostu tacy uczeni, zamożni, wygodni, a „przemęczeni" nadmierną lekturą panowie uczynili sobie z krwawego przewrotu w Rosji „eine Kanapeefrage" i—jak dzieci— igrają z ogniem. Zamiast zdecydowanem, lapidarnem słowem (bo na czyny ich nie stać) zwalczać każdy objaw już nietylko komunizmu, ale nawet etatyzmu, jako awangardę doktryny Marksa i przyczyniać się ze swej strony do odparcia tego niebezpieczeństwa moralnego, politycznego i społeczno-gospodarczego, pozwalają sobie ci panowie na

karygodne szerzenie wśród inteligencji defetyzmu wobec doktryny, która całą naszą cywilizację moralnie i materjalnie zabija!

I jakże w danym momencie (którego bynajmniej nie pragniemy!) będzie szedł na nieprzyjaciela nasz żołnierz czy oficer, choćby najlepiej wyćwiczony i uzbrojony, jeżeli jego ojcowie, stryjowie lub kuzyni kłaść mu będą w uszy „naukowe" frazesy o „nieuchronnem zwycięstwie leninizmu", osłabiając w nim przez to wiarę nietylko w zwycięstwo, ale nawet w słuszność i celowość walki za ojczyznę?!

I dlatego nie waham się na tem miejscu jaknajostrzej napiętnować wyznawanie i głoszenie — choćby nawet w kółku poufnem—tych absurdalnie defetystycznych teorji ze strony ludzi, którym rozum i doświadczenie i święty obowiązek wobec kraju powinny dyktować całkiem inne przekonania i postępowanie!!

Zresztą ci panowie kapitalnie się mylą i dowodzą tylko, że może dużo wchłaniają w siebie książkowej nauki, ale zbyt mało ją... trawią! Bo rzeczywistość wykazuje coś całkiem przeciwnego ich defetyzmowi.

Przedewszystkiem ulubiona przez nich paralela między zwycięstwem „idei jakobińskiej" a bolszewickiej jest niezmiernie powierzchownie ujęta i dlatego fałszywa. Hasła bowiem rewolucji francuskiej zwyciężyły dlatego, że niszczyły system niewoli, nieaktualny już na tej stopie cywilizacji, którą osiągnął „trzeci stan" w zachodniej Europie z końcem XVIII-go wieku. Natomiast bolszewizm (czy komunizm) chce zniszczyć wolność, a więc cofnąć cywilizowane ludy do ustroju bądź co bądź niewolnictwa, który dawno już minął. I w tem właśnie leży zasadnicza różnica, o której owi pp. ekonomiści i inni uczeni zapominać nie powinni. Wszystko inne bowiem w bolszewiźmie jest tylko dodatkiem i szczegółem, a celem głównym kompletne ujarzmienie jednostki i całej ludzkości. Na to zaś — przepraszam owych pp. uczonych — dzisiejsza, cywilizowana ludzkość zachodu, nie wyłączając nawet chłopa polskiego,

jest już za mądra i dostatecznie uświadomiona. Mogło się to wydarzyć na specyficznem rosyjskiem podłożu, gdzie iście średniowieczne stosunki i faktyczna jeszcze niewola społeczna z czasów przedwojenych wywróciły się nagle, bez organicznego przejścia, w inny system niewoli. Wszak ogół społeczeństwa rosyjskiego nigdy wolnym nie był i być nie umiał. Nikogo więc dziwić nie powinno, że z poddaństwa białemu carowi i ochranie, przy podstawowym braku należycie unormowanego prawa indywidualnej własności ziemskiej, przeszedł tak stosunkowo łatwo w poddaństwo czerwonych carów i czrezwyczajki, przy kollektywistycznym ustroju rolnym.

Nie nastąpiła więc właściwie żadna zasadnicza różnica, a rewolucja polegała tam nie na wprowadzeniu jakichś nowych, twórczych idei w rodzaju niektórych haseł rewolucji francuskiej, ale poprostu tylko na wyrżnięciu jednych przez drugich, rozgrabieniu ich mienia i zastąpieniu czynowników komisarzami. Pozatem Moskal został Moskalem, a Rosja Rosją, ze wszystkiemi cechami charakterystycznemi tego ludu i tego na bezmyślnej zaborczości opartego państwa.

I dlatego też komunizm nigdy i w żadnej formie w państwach cywilizowanych się nie przyjmie, odtąd nawet mniej, niż to było możliwe przed wojną (gdzie socjalistyczni wyznawcy teorji Marksa mieli jednak w wielu państwach duże znaczenie i występowali jeszcze z czystą, nie zaszarganą politycznie doktryną), gdyż właśnie eksperymentem bolszewickim został nietylko czysty komunizm, ale cały kollektywizm wogóle skarykaturowany i doszczętnie ośmieszony.

Osobiście pozwalam sobie upatrywać głębsze źródło owego defetyzmu filobolszewickiego wśród sfer posiadających w Polsce w całkiem innem zjawisku, daleko prostszem, daleko bardziej materjalistycznem, dla którego uczone księgi stanowią tylko dość niezgrabną wymówkę. Ludzie zamożni przyzwyczaili się u nas żyć nad stan, umiłowali

pieniądze i wygodę. To też nie może im się dzisiaj w głowie pomieścić, że trzeba trochę oszczędzać, trzeba sobie niekiedy czegoś odmówić i przedwojenne, a choćby „przedstabilizacyjne“ wygody nieco ograniczyć. Gniewa ich to niepomiernie, że niejeden musi dzisiaj jeździć taksówką, zamiast własnem autem, że nie może pozwolić sobie na kosztowny wyjazd zagranicę, że nie może sprawić sobie ośmiu garniturów rocznie u pierwszorzędnego krawca, ale tylko dwa lub trzy i t. d.

I stąd „przekonanie“ o nieuchronnem nadejściu komunizmu. Szukać go trzeba w istocie nietyle w uczonej argumentacji tych panów, przygnębionych wysokimi podatkami, a niskiemi cenami zboża lub czynszami z posiadanych kamienic, ale właśnie w tych niskich czynszach i cenach. Bo zapewniam uroczyście wszystkich Szanownych Czytelników (niechże to zostanie między nami!), że gdyby ceny zboża się podniosły, gdyby wzrósł dochód z kamienic, obniżyły się podatki i otworzył się łatwy, długoterminowy kredyt, to wszystkie owe z patosem głoszone proroctwa o nieuchronnym komuniźmie znikłyby, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, ustępując miejsca gorącym „przekonaniom“ o różowej przyszłości ojczyzny (i kieszeni) i o „zbrodniczej doktrynie bolszewickiej, która może się szerzyć w półdzikiej Rosji, ale która oczywiście nigdy do nas nie dojdzie, jako do państwa cywilizowanego, katolickiego, mocarstwowego! Nieprawdaż, panie profesorze, czy prezesie, czy sąsiedzie?!“

Oto prawdziwa, obrzydliwie materjalistyczna przyczyna naszych uczonych wywodów o nieuchronnej przyszłości komunistycznej! Ale przyznasz, Szanowny Czytelniku, że takie bajanie, wywołane złością z powodu chwilowo pustego, a choćby tylko półpełnego pugilaresu, jest w najwyższym stopniu karygodnem i antypaństwowem, a łamiąc tężyznę społeczeństwa, nie przyczynia się bynajmniej do skutecznej walki z kryzysem gospodarczym! Jeżeli zresztą ci uczeni panowie, albo ci młodzi zapaleńcy,

którym tak „żelazna konsekwencja“ rosyjskiej czerezwyczajki imponuje, szczerze głoszą swe proroctwa, to możeby najlepiej zrobili, gdyby, nie czekając przez długie jeszcze lata na zaprowadzenie ustroju komunistycznego w Polsce, wyemigrowali zaraz tam, gdzieby jego „żelazną konsekwencję“ mogli odrazu sprawdzić na własnej skórze? Byliby tam z pewnością, po wywłaszczeniu ich z bagażu podróżnego na rzecz „nieuchronnego leninizmu“, jak najlepiej przyjęci, jako budujący przykład „zamożnych burżujów i speców ekonomicznych, uciekających przed uciskiem zgniłego kapitalizmu do raju prawdziwej wolności proletarjackiej“!

Aby jednak tymczasem ich defetyzm „naukowy“ (a mojem zdaniem poprostu tylko kieszeniowy) nie zrobił przypadkiem pewnego wrażenia na którymkolwiek z naszych Szanownych Czytelników, to musimy podkreślić — na podstawie nie uczonych dzieł zagranicznych profesorów, ale na podstawie życia i bieżących wypadków — że nietylko żadnej niema obawy co do dalszego pochodu komunizmu, że nietylko dzisiejszy polski etatyzm (szkodliwy, ale zrozumiały) nie upoważnia do żadnych komunistycznych konsekwencji na dłuższą metę, ale wprost przeciwnie: każdy dzień trzeźwej obserwacji stosunków na świecie wykazuje, że nietylko idee kollektywizmu, ale nawet demokratycznego radykalizmu walą się tak, jak po wojnie waliły się niektóre przestarzałe, nieżyciowe trony.

W kilku poprzednich artykułach sprawozdawczych na temat postępowego bankructwa doktryn radykalnych wyliczyliśmy już cały długi szereg konkretnych wypadków i zjawisk w państwach cywilizowanych, które niedwuznacznie wskazują na to, że zniechęcona i zbiedzona doktrynami demagogicznemi ludzkość zmierzać zaczyna zwolna, ale stale w kierunku wręcz przeciwnym marksizmowi. Ludzie poprostu zaczynają już nieco mądrzeć na dzisiejszym stop-

niu cywilizacji i nauczeni ciężkiemi doświadczeniami zwracają się z coraz większem zaufaniem i przekonaniem w kierunku trzeźwego objektywizmu, a nawet do pewnego stopnia wprost konserwatyzmu — w pewnem tego słowa znaczeniu.

Nie będziemy tu tych spostrzeżeń powtarzać, a dodamy tylko parę nowych i to bardzo znamiennych.

Oto narzucone przez rozwichrzoną po wojnie światowej demagogję różnym państwom ultrapostępowe „dobrodziejstwa społeczne" okazały się dzisiaj tak już kosztowne, demoralizujące a bezcelowe, że szerzy się wszędzie przeświadczenie, iż one to właśnie przyczyniają się w bardzo znacznym stopniu do pogłębienia światowego kryzysu gospodarczego. Rządy i sfery finansowe zaczynają rozumieć i coraz wyraźniej to wypowiadać, że bez gruntownej redukcji i naprawy całego demagogicznego ustawodawstwa kredyt międzynarodowy równa się wrzucaniu pieniędzy w bezdenną studnię. Stąd dwaj najwięksi bankierzy świata, Ameryka i Francja (ta chyba aż nadto do niedawna radykalnie usposobiona i kolebka różnych doktryn socjalistycznych), warunkują udzielanie kredytu innym państwom zahamowaniem przez nie nadmiernego rozpędu demokratycznego. A zjawiskiem kulminacyjnem tego otrzeźwiającego uświadomienia było niedawne załamanie się socjalisty Mac Donalda i utworzenie przez niego nowego gabinetu angielskiego z większością konserwatywną. Niech piszą, co chcą gazety i ajencje prasowe na ten temat, niech sfery demokratyczne i socjalistyczne wychwalają Mac Donalda za jego „patrjotyczne poświęcenie"! My zdajemy sobie sprawę doskonale z oczywistego faktu, że ustąpienie Mac Donalda i Snowdena — a więc dwóch czołowych minsitrów — z Labour Party i wezwanie przez nich konserwatystów do współpracy nie było żadnem wzniosłem „poświęceniem demokratycznem", ale wywołane zostało poprostu przeświadczeniem, że doktryna demagogiczna czy socjalistyczna nie jest w stanie wyciągnąć

Anglji z błota i wzbudzić na świecie zaufania do finansów angielskich.

Paryski zaś „Le Temps“ w inspirowanym przez rząd artykule tak pisze na temat udzielania długoterminowych pożyczek agrarnych przez powołany obecnie do życia Międzynarodowy Rolniczy Instytut Kredytowy w Genewie:

„Jeżeli grupa państw środkowo- i południowo-wschodniej Europy nie może przezwyciężyć trudności, stojących na drodze do poważniejszego przypływu kapitałów, to dzieje się to właśnie z powodu *wadliwości ustawodawstwa gospodarczego* w tych krajach i *swoistych stosunków politycznych*, nie mających — zdaniem polityków zachodu — niezbędnych cech trwałości... Chodzi przedewszystkiem o politykę wewnętrzną państw, którym mamy pomagać. Dopóki nie zdecydują się one na przeprowadzenie zasadniczej reformy swego życia wewnętrznego, mianowicie *dopóki nie zostanie wyleczona gangrena socjalistyczna*, *przeżerająca ich organizm — nie mogą one liczyć na żadną pomoc z naszej strony*“.

A więc, jasno i wyraźnie, panowie prorocy „nieuchronnego pochodu komunizmu“! Jeżeli nie zamilkniecie z waszemi proroctwami, to nie dostaniecie franków, ani dolarów na wasze folwarki i fabryki!

Oczywiście warunki te, stawiane przez zagranicę, jakoś trzeźwiej kalkulującą od niektórych naszych ekonomicznych defetystów, wywołały okrzyk zgrozy wśród zwolenników Marksa. Krzyk ten nic im jednak nie pomoże. Co do Polski, to konstatujemy, że *rząd wchodzi coraz bardziej zdecydowanie na drogę reform antymarksowskich i antyradykalnych*. W każdym razie staje się już teraz coraz bardziej uznanem w kraju i zagranicą, że racjonalna droga wybrnięcia z kryzysu wiedzie nie w kierunku „nieuchronnego leninizmu“ i wogóle nie środkami, zalecanymi

przez epigonów zgrzybiałego, ośmieszonego socjalizmu, ale w kierunku kalkulacji ściśle objektywnej, rzeczowej, uznającej pewne odwieczne a proste zasady społeczno-gospodarcze.

A bardzo popularna gazeta francuska „L'ami du Peuple" pisała we wstępnym artykule z końcem sierpnia p. t. „Bankructwo labourzystów":

„Czując się niezdolnym do znalezienia skutecznych środków na zło, które rozpętał, gabinet Ramsaya Mac Donalda podał się do dymisji. Bankructwo całkowite i upakarzające!

„Dzierżąc władzę przez dwadzieścia sześć miesięcy, labourzyści pozostawiają Anglję nad brzegiem inflacji i wszelkich jej konsekwencji. Budżet wykazuje deficyt 15 miljardów franków; waluta jest zagrożona wobec faktu, że Bank Angielski wyczerpał już prawie kredyt 50 miljonów funtów, postawiony mu do dyspozycji przez Bank Francji i Federal Reserve Bank.

„Co do bezrobocia, to nigdy przedtem nie srożyło się ono w sposób bardziej tragiczny i demagogja labourzystów odbije się najokrutniej właśnie na warstwach pracujących.

„Przez całą ubiegłą niedzielę pp. Mac Donald i jego koledzy trzymali się kurczowo przy władzy, czując dobrze, że w danych okolicznościach dymisja wyglądałaby na ucieczkę. Ale, aby móc pozostać, trzeba było móc zrezygnować z rozrzutnej gospodarki i demagogicznej licytacji, bez których socjaliści tracą wszelki wpływ na swą klijentelę... W tych warunkach p. Mac Donald mógł oddać tylko jedną przysługę swej ojczyźnie: odejść z całym swoim sztabem, aby umożliwić królowi utworzenie rządu, złożonego z przedstawicieli wszystkich trzech stronnictw i mającego za zadanie wprowadzenie niezbędnych oszczędności".

Oto, jak konstatują Francuzi fiasco ideologji socjalistycznej w Anglji. Nie prawią wcale uczonych frazesów o zwycięskim pochodzie socjalizmu, ale stwierdzają wy-

mowny fakt, że kolektywizm nie jest w stanie rządzić państwem cywilizowanem. My także jesteśmy stanowczo zdania, że kolektywizm w żadnej formie i postaci nie osiędzie w Polsce ani jutro, ani za sto lat, ani za tysiąc i to zwłaszcza w wymaganej przez naszych defetystów formie ewolucyjnej, kanapowej. Chyba, że owi niefortunni nasi prorocy zgodzą się na krwawą rewolucję, czerezwyczajki i... panowanie moskiewskie!

I jeszcze jedno. Oto ci nasi uczeni prorocy leninizmu, poza swem głównem twierdzeniem, argumentowanem scholastycznie ze wszystkich możliwych i niemożliwych podręczników zagranicznych, nie poprzestają bynajmniej na ponurem krakaniu, ale i pozytywnie torują drogę ideologji państwowego przymusu, nazywając „liberałem" każdego, kto pragnie pewnego zelżenia nadmiernej ingerencji państwa w prywatne życie gospodarcze, i podniesienia nieco inicjatywy prywatnej. Admiratorowie dzisiejszego bolszewizmu i faszyzmu, stanowiących skonkretyzowane ustroje państwowego przymusu, przeprowadzają fałszywie zbyt bliską analogję między tymi dwoma wyjątkowymi ustrojami a stosowaną dzisiaj z konieczności państwową ingerencją i pomocą (może zbyt daleko idącą) w innych krajach celem zwalczania kryzysu. Urobiło się więc w ich umysłach przekonanie, że cały świat cywilizowany, a wśród niego także i „rządy pomajowe" w Polsce, dążą zasadniczo do coraz większej ingerencji państwa w życie prywatne i własność prywatną obywateli. I w defetyźmie swym, czyhającym tylko na kredyty rządowe za wszelką cenę, głoszą ci „wybitni ekonomiści", że to jest nietylko droga, po której zmierza świat, a zwłaszcza „rządy Piłsudczyków", ale że nawet jest to jedynie racjonalna droga. Dlatego każdy, kto ma zastrzeżenia przed taką faszyzacją czy półsocjalizacją stosunków, mianowany jest bezapelacyjnie „liberałem".

Niechże ci pp. oportuniści i pseudofaszyści i pseudo-

piłsudczycy i t. p. zajrzą raczej do pierwszego lepszego podręcznika ekonomji czy historji i przypomną sobie, co to jest właściwie „liberał“! Bo widzę, że w swym zapale reformatorskim, w swej powierzchowności żonglowania definicjami, identyfikują nas — obrońców pewnej inicjatywy i tężyzny indywidualnej — zbyt pospiesznie z liberałami, o których uczyli się do egzaminów, ale od tego czasu dawno już definicji „liberalizmu“ zapomnieli.

Zwłaszcza w ostatnich latach, w poszukiwaniu za długoterminowym kredytem, pomocą rządu i wśród dywagacji na temat „faszyzmu“ Piłsudczyków!

To jedno jest dla mnie w każdym razie pewnem i bezspornem, że z takimi ludźmi, o takim defetyźmie prosowieckim i o tak słabej kości pacierzowej, ani kryzysu przezwyciężyć, ani kredytów uzyskać, ani wogóle niczego dokonać niepodobna.

Jan Bobrzyński.

ZATARG FASZYZMU Z KOŚCIOŁEM.

Mając obecnie możność spoglądania na całokształt sporu, powstałego między faszyzmem i Kościołem we Włoszech, łatwiejszem będzie właściwe oświetlenie tego zawiłego problematu, aniżeli w poszczególnych stadjach jego rozwoju, kiedy to pojawił się cały szereg przedwczesnych i błędnych sposobów ujmowania jego istoty oraz przypuszczeń co do możliwości jego zażegnania.

Wydaje się koniecznem na wstępie scharakteryzowanie pokrótce genezy i istoty rzeczonego zatargu.

Gdy się zważy na fakt zawarcia przed tak niedawnym czasem ugody pomiędzy rządem faszystowskim i Watykanem w postaci układów laterańskich, podpisanych 11 lutego 1929 r., mogą się niedawne, nader przykre wydarzenia we Włoszech wydawać dziwnemi i niespodziewanemi. A jednak, gdy się sięgnie do głębi tego problemu, można się przekonać, że zarzewie zatargu tlilo już w samym stosunku faszyzmu do Kościoła, jakkolwiek został ten ich wzajemny stosunek w szczegółach wzorowo, zdawałoby się, uregulowany paktami laterańskimi. I nie ulega najmniejszej wątpliwości, że układy te uporządkowały w zasadzie stan rzeczy pomiędzy Stolicą Apostolską i państwem włoskiem w sposób doskonały, dający podstawy zgodnego współżycia pomiędzy kontrahentami, pod warunkiem wszakże obopólnej dobrej woli i poszanowania postanowień, zawartych w traktatach.

Zaznaczyć tu należy, że moment możliwości wybuchu zatargu zaakcentował się nie później, jak już w kilka miesięcy po podpisaniu układów laterańskich i to zanim jeszcze nastąpiła ich ratyfikacja. Mowa Mussoliniego z 13 maja 1929 r. dała temu aż nazbyt dobitnie wyraz. „Naszem musi być wychowanie — mówił. — Pod tym względem nie

znamy ustępstw". I oto sedno sprawy. Tu należy szukać zasadniczej przyczyny zatargu. Istota sporu tkwi więc w idei faszystowskiego państwa. „Ideą centralną naszego ruchu jest państwo... Wszystko wewnątrz państwa, nic poza państwem, nic przeciw państwu" — mówi innym razem Mussolini. Nie możnaby dać bardziej trafnej definicji idei faszystowskiej, aniżeli to uczynił sam wódz faszyzmu. Państwo węc jest w tej koncepcji wszechwładnem i wszechobecnem. Koncepcja ta niweluje jakby jednostkę, nie uznaje jej, podporządkowuje ją bezwzględnie państwu. I tu tkwi kolizja idei faszystowskiej z doktryną Kościoła, który nie dopuszcza do zatracenia przez jednostkę swej indywidualności i głosi, iż jest dziedzina sumienia jednostki, która żadnemu nakazowi władzy państwowej nie podlega, oraz który przeciwstawia się monopolizowaniu przez państwo wychowywania młodzieży, należącego do rodziców, Kościoła i państwa.

Bezpośrednią przyczyną sporu stała się wroga postawa faszyzmu wobec Akcji katolickiej we Włoszech, która stanowi jądro życia katolickiego, oraz obejmuje m. in. katolickie związki młodzieży, które się we Włoszech, dzięki wzorowej organizacji Akcji katolickiej, znakomicie rozwijają. Faszyzm bowiem, ze swą ekskluzywnością i uniwersalnością, z natury swojej nie może się pogodzić z istnieniem obok siebie innej organizacji, któraby posiadała znaczny wpływ na duchowe kształtowane obywateli. To też po dłuższym okresie, w którym stale powtarzały się drobniejsze zajścia, świadczące o nieprzyjaznem stanowisku kół faszystowskich wobec Akcji katolickiej, nie omieszkał faszyzm wypowiedzieć jej otwartej wojny. Podczas demonstracji studentów faszystowskich w Rzymie i innych miastach włoskich dopuszczono się gwałtów wobec siedzib i przedstawicieli Akcji katolickiej, przyczem zdemolowano wiele lokali, a kulminacyjnym punktem demonstracji rzymskich były słowne i zapomocą drukowanego słowa miotane obelgi przeciw osobie Papieża.

Przyczyną wrogich wystąpień młodzieży faszystowskiej przeciw Akcji katolickiej miała być jej rzekoma działalność polityczna i antyfaszystowska. Okazało się niebawem, że oficjalne koła faszystowskie w zupełności solidaryzowały się z wystąpieniami młodzieży, oraz że zależało im na wywołaniu konfliktu, ażeby następnie móc wystąpić przeciw Akcji katolickiej i bądź to zamknąć jej biura, bądź rozciągnąć nad niemi kontrolę państwową, paraliżując w ten sposób jej działalność. Kroki Stolicy Apostolskiej, poczynione w drodze dyplomatycznej, a zmierzające do zażegnania sporu, nie odnosiły w ciągu dłuższego czasu odpowiedniego skutku, albowiem rząd faszystowski nie dawał ani właściwej satysfakcji, ani też dostatecznych formalnych gwarancji, że podobne zajścia nie powtórzą się w przyszłości. Dn. 4 lipca b. r. ukazała się na łamach „Osservatore Romano" przedrukowana encyklika Papieża o zatargu faszyzmu z Kościołem, o której w dalszym ciągu obszerniej będzie mowa. Po kilku miesiącach zawiadomiono z Rzymu, że mają się toczyć pomiędzy rządem włoskim i Watykanem poufne rozmowy, mające na celu uzgodnienie stanowisk obu stron tak dalece, by móc przystąpić do dyplomatycznych pertraktacji na konkretnych podstawach, rokujących nadzieję osiągnięcia porozumienia. W krótki czas potem komunikowała Agencja Stefaniego o dojściu stron do porozumienia.

Faszyzm nietylko zwalcza wpływ Akcji katolickiej, w której widzi bardzo poważnego współzawodnika, lecz głosi, że posiada drogi i środki do najracjonalniejszego rozwiązywania wszelkich zagadnień społecznych. Jako taki skrajny pogląd doktryny faszystowskiej można tu przytoczyć twierdzenie faszystowskiego organu kół uniwersyteckich, z którego wynika, że faszyzm ma nawet prześcigać zasady chrześcijańskie: „Sądzimy, że zasady społeczeństwa narodowego, tworzonego przez faszyzm, właśnie nie godzą się z zasadami chrześcijaństwa, ponieważ faszyzm prześciga te zasady. I t a l j a, k t ó r a d z i ś z n a l a z ł a

w faszyźmie ideę jedyną, mogącą ocalić świat przed anarchją, powinna się wyłącznie po to zbliżyć do katolicyzmu, by opanować jego wszechświatową organizację i narzucić światu tę ideę zbawczą, która jest własnością Italji".

Z powyższego wynika, że starcia faszyzmu z Kościołem nie są objawem takiej walki, jaką często prowadzą państwa z Kościołem. Nie polega ona w tym wypadku na zwalczaniu Kościoła, jak to widzimy w państwach o radykalnych rządach liberalnych lub komunistycznych, a więc na ograniczaniu i wypieraniu wpływów Kościoła, jako zbędnych w ich pojęciu lub szkodliwych. Nie chodzi tu więc o tendencje, zmierzające do zniszczenia religji, a natomiast mamy przed sobą objaw walki przedewszystkiem politycznej.

Nasuwa się mimowoli pytanie, dlaczego Mussolini pomimo wszystko zgodził się na zażegnanie sporu rzymskiego przez zawarcie układów laterańskich w 1929 r. Otóż widział on w tem szereg korzyści dla państwa faszystowskiego. Nie ulega wątpliwości, że moment egoistyczny faszystowskiej Italji musiał tam być dominującym. Mussolini widział wielkie korzyści w zgodzie Włoch ze Stolicą Apostolską, a przedewszystkiem w jedności na zewnątrz wszystkich Włochów, których dzielił duchowo przewlekły spór rzymski. Jednakowoż, o ile chodzi o wpływy państwowe na wychowanie obywateli, okazał się Mussolini nieprzejednanym wobec Kościoła. Objawiło się to w całej swej jaskrawości bezpośrednio po zawarciu układów laterańskich, o czem była już mowa powyżej.

Należy się jeszcze zastrzec na tem miejscu przeciw niewłaściwemu ujmowaniu ostatniego konfliktu rzymskiego przez niektóre koła i czynniki, zarówno zagranicą, jak i u nas w krajau, sądząc ze sposobu oświetlania tej kwestji w różnych organach prasowych.

O istocie i podłożu sporu między państwem faszystow-

skiem a Kościołem we Włoszech zdołano już wiele napisać. I nie bez powodu. Nie możnaby wszakże powiedzieć, iżby ujęcie istoty tego problematu miało być trafne, przynajmniej w znacznej większości opublikowanych na ten temat, licznych rozpraw. I tu właśnie tkwi źródło dezorjentacji, jaka naogół panuje w tym względzie. Przedewszystkiem należy zaznaczyć jedno: istotne podłoże tego zatargu było natury duchowej, a nie materjalnej. Nie polityka Watykanu, odznaczająca się „popieraniem reakcji i dyktatury, zwalczaniem postępu społecznego i demokracji“ — jak to chcą widzieć pewne koła lewicowe — stała się przyczyną zatargu, a natomiast fakt, że ustrój faszystowski z natury swojej nie może się pogodzić z istnieniem obok siebie innej organizacji, z którąby miał dzielić rządy w dziedzinie duchowej. I oto zarzewie zatargów, ukryte, a nieustannie tlejące. Wszystkie mniejsze dotychczasowe zatargi pomiędzy faszyzmem i Kościołem po zawarciu ugody laterańskiej noszą wyraźnie owe piętno.

Niesłusznem jest również twierdzenie, jakoby Kościół pretendował do „prymatu“, o ile chodzi o duchową stronę życia społeczeństw. Fałszywe to z gruntu twierdzenie. Doktryna katolicka głosi bowiem wyraźnie w najważniejszych dziedzinach tego życia duchowego konieczność współudziału zarówno państwa, jak i Kościoła, a gdy chodzi np. o wychowanie, to również i rodziców. A właśnie kwestja wychowania i wyraźne monopolizowanie go sobie przez faszyzm stały się jedną z pierwszych przyczyn nieporozumień pomiędzy Stolicą Apostolską i rządem faszystowskim. Błędnem jest również twierdzenie, jakoby niedawne wydarzenia rzymskie były jednym z objawów „bankructwa polityki“ Watykanu, podobnie jak upadek „katolickiej monarchji“ w Hiszpanji, lub „przegranie kanclerza ks. Seipla we własnem stronnictwie“, albo „pokłócenie się z Watykanem na serjo dyktatury litewskiej“ i t. p., i t. p. Pakt laterański miałby być „kulminacją“ tej obecnie „zbankrutowanej polityki“. O ile się przyjmuje za punkt kulminacyj-

ny polityki Piusa XI zawarcie układów laterańskich, które tak niezwykle wielkie korzyści przyniosły Kościołowi, to naprawdę niezrozumiałem musi się wydawać twierdzenie, że polityka ta była złą i obecnie zbankrutowała.

Mówiąc krótko i węzłowato: nie polityka Watykanu, idąca w tym lub innym kierunku, ale kolizja faszyzmu z doktryną Kościoła stała się powodem zatargu.

W ogólności było porozumienie pomiędzy Stolicą Apostolską i państwem włoskiem nader łatwe, o ile chodzi o materjalną stronę, a to dzięki stanowisku, zajętemu przez Piusa XI. Znamienne są słowa Papieża na ten temat, wypowiedziane 11 lutego 1929 r.: „Sądzimy, że zapatrujemy się na tę sprawę ze stanowiska św. Franciszka: tyle tylko ciała, ile wystarcza dla utrzymania związku z duszą". Ta tendencja Papieża znajduje znakomicie wyraz w układach laterańskich. W układzie politycznym, regulującym stosunki pomiędzy państwem włoskiem i Stolicą Apostolską w związku z utratą przez nią państwa kościelnego — Papież daje, czyniąc olbrzymie ustępstwa w dziedzinie materjalnej. Natomiast w konkordacie, normującym położenie Kościoła we Włoszech, gdzie chodzi o dobro dusz — Papież bierze. Wzamian za rozległe państwo kościelne nie zawahał się Papież przyjąć zaledwie 44 hektary niezależnego obszaru w postaci Citta del Vaticano. Natomiast konkordat włoski należy do najlepszych z pośród podobnych układów, zawartych przez Stolicę św. w ostatnich czasach, a to dzięki wielkim korzyściom, jakie zapewnia Kościołowi we Włoszech.

I oto przez wystąpienie rządu faszystowskiego przeciwko Akcji katolickiej i skrępowanie jej działalności oraz rozwiązanie katolickich stowarzyszeń młodzieży zostały przez Włochy wyraźne pogwałcone postanowienia Konkordatu. A więc tam, gdzie Stolica Apostolska za cenę wielkich ofiar materjalnych ocaliła pierwszorzędnej wagi sprawy, regulując je Konkordatem, otrzymała ona ostatnio dotkliwy cios, wobec nieposzanowania przez drugą stronę postanowień, zawartych w pakcie.

Nie bez słuszności mówiono o możliwości runięcia układów laterańskich, o ileby rząd faszystowski nie zawrócił z drogi, na którą wszedł ostatnio. Papież, który w swoim czasie powtórnie wskazywał na ścisły związek pomiędzy traktatem politycznym i Konkordatem, podpisanymi 11 lutego 1929 r., oświadczył bezpośrednio po wzmiankowanej już mowie Mussoliniego z 13 maja 1929 r.: „Traktat i Konkordat według swej litery i ducha, jak również w myśl wyraźnych ustnych i pisemnych wyjaśnień, stanowią konieczne wzajemne uzupełnienie i są ze sobą nierozdzielnie i nierozerwalnie złączone. Oby się nie zdarzyło, że ponieważ razem mają stać, również razem musiałyby paść, nawet gdyby wskutek tego paść miała Citta del Vaticano ze swojem państwem!"

Dla dokładniejszego oświetlenia całokształtu zagadnienia, któremu poświęcone są niniejsze uwagi, wydaje się wskazanem powrócenie jeszcze do istoty ruchu faszystowskiego i jego stosunku do Kościoła, o czem już wspomniano powyżej. Jak już podkreślono, walka faszyzmu z Kościołem nie jest objawem walki, jaki obserwujemy w liberalnych państwach lub w Rosji komunistycznej, a jest natomiast walką przedewszystkiem polityczną. Ruch faszystowski, aczkolwiek w założeniach swych jest ruchem nacjonalistycznym, kładzie wszakże zbyt wielki nacisk na przewagę czynnika państwowego. Wszystko w ramach państwa! Jest to nawrót w jaskrawej formie do antycznego rzymskiego państwa. Wszechwładne i wszechobecne państwo jest tam najwyższym władcą w każdej dziedzinie życia, również moralnej. Ono jest absolutnym władcą dusz i najwyższym sędzią sumień obywateli.

W tem więc swojem dążeniu do opanowania i kierowania przejawami kulturalnego i społecznego życia narodowego faszyzm natrafja na granitowe fundamenty katolickich organizacji, które, zgodnie z wiekową tradycją Kościoła, rozwijają rozległą i owocną działalność w rzeczonych dziedzinach życia narodów. Faszyzm, nie omieszkawszy

wykorzystać uprzednio wszelkich dobrodziejstw, płynących ze zgodnego współżycia z Kościołem, przyczem okazywał jaknajdalej idącą dobrą wolę naprawienia wielkich krzywd, wyrządzonych Kościołowi przez poprzednie rządy włoskie, wzmocniwszy się dostatecznie w ciągu dziewięciu lat swej egzystencji, przystąpił do zmierzenia się z Kościołem w dziedzinie wychowania młodych pokoleń. Chodzi tu więc przedewszystkiem o antagonizm. Ze swą ekskluzywnością i zaborczością nie bez powodu obawia się faszyzm wpływów Kościoła z chwilą, gdy chce z nim współzawodniczyć, albowiem Kościół, który z wielkiego kataklizmu światowego nietylko nie wyszedł osłabiony, lecz przeciwnie — wzmocniony, odradza się obecnie wspaniale; duch religijny umacnia się i przenika coraz głębiej wewnątrz zbiorowości. I jest rzeczą znamienną w dziejach, że właśnie wówczas najczęściej pojawiają się tendencje, wrogie Kościołowi ze strony państwa, kiedy tenże odradza się, staje się silniejszym. Za klasyczny przykład posłużyć tu może średniowiecze, okres największej potęgi Kościoła, kiedy to rozgorzała najgwałtowniejsza walka pomiędzy władzą świecką i duchowną.

Nie można zaprzeczyć temu, iż faszyzm, który zdławił we Włoszech komunizm, zniósł w zasadzie tajne stowarzyszenia, a tem samem przyczynił się znacznie do wzmocnienia Kościoła i wyświadczył mu wielką przysługę, widzi obecnie w doskonale zorganizowanych zrzeszeniach katolickich w Italji pewne niebezpieczeństwo dla siebie, chociażby zrzeszenia te nie miały specjalnie oddawać się polityce. Istnieje bowiem możliwość, iż odegrają one ważną rolę w dalszym rozwoju wydarzeń.

Gdy spór się przewlekał, a kroki w drodze dyplomatycznej w postaci wymiany not nie odnosiły skutku, pojawiła się w tej sprawie zupełnie niespodziewanie encyklika papieska, o której już wspomnieliśmy. Występuje w niej Papież w niezwykle stanowczej formie wobec faszyzmu. W czterech treściwych częściach tego orędzia nakreślona

jest istota sporu i jego podłoże. Z wywodów tych wynika, ża faszyzm zwalcza Akcję katolicką we Włoszech, jakkolwiek jest ona — jak wszędzie indziej w całym świecie — apolityczna. Papież wskazuje na gwałty przeciwko związkom młodzieży katolickiej, na surowość zarządzeń władz policyjnych, wypadki bicia i rozlewu krwi, jakie z tego powodu miały miejsce, oraz wreszcie na obelgi, miotane nawet przeciwko jego osobie. Encyklika wskazuje na kłamstwa i potwarze, zawarte w specjalnem, coprawda nieoficjalnem wydawnictwie, skierowanem przeciw Stolicy Apostolskiej, przeciw Akcji katolickiej, a szczególnie przeciw ciężko dotkniętym związkom. Papież nazywa to wydawnictwo „lekkomyślnem, ażeby nie powiedzieć bezwstydnem".

W dalszym ciągu encykliki mówi Papież, iż Kościół, religja i wierzący katolicy nie mają podstaw do wdzięczności dla tego, co najpierw usunął socjalizm i masonerję, a potem im wrota znów jak najszerzej otwiera.

W części, zatytułowanej „konkluzje" mówi Papież: „To, czego chciano — to wyrwanie Kościołowi całej młodzieży. Zamiarem jest, wbrew najświętszym i niewzruszonym prawom duszy i Kościoła, zagarnąć młodzież, poczynając od dzieciństwa, aż do wieku dojrzałego, na rzecz jednej partji, jednego rządu, wychowując ją na podstawie ideologji, która zdecydowanie sprowadza się do prawdziwego ubóstwiania państwa w sensie pogańskim, co stoi w całkowitej sprzeczności z przyrodzonemi prawami rodziny i nadprzyrodzonemi prawami Kościoła".

W końcowej części encykliki zaznacza Papież, iż nie ma zamiaru osądzania rządów jako takich, lecz jedynie tego, co w programie działalności partji uznać musi za sprzeczne z nauką i z tradycją Kościoła. Następnie wskazuje na to, iż antyklerykalizm we Włoszech może mieć tylko takie znaczenie i siłę, jakich mu udziela masonerja i liberalizm kół rządowych.

Odwołanie się Papieża do całego świata katolickiego w sprawie zatargu faszyzmu z Kościołem wywołało burzę

sprzeciwów w obozie faszystowskim. Rząd włoski wystąpił w nocie dyplomatycznej przeciwko rzekomej, niedopuszczalnej „ingerencji obcych“ do spraw włoskich. Nastąpiło oczywiście zaprzeczenie przeciwnej strony z wykazaniem, iż nie może tu być mowy o obcych. Ani bowiem nie jest nim w danym wypadku Papież, którego pozycja w Kościele powszechnym, jego urząd Biskupa Rzymu oraz Prymasa Włoch stanowią dostateczne tytuły do interwencji w sprawach religijnych; ani też nie są nimi wierni, jeśli w całym świecie podnoszą głos w obronie Kościoła i Papieża, albowiem wolność i powaga Stolicy Św. obchodzą cały świat.

Oficjalne pertraktacje, jakie w późniejszym czasie zostały nawiązane, doprowadziły wreszcie do porozumienia pomiędzy Stolicą Apostolską i rządem faszystowskim. Dn. 2 września b. r. ogłosiła Agencja Stefaniego oficjalny komunikat w tej sprawie, powtórzony następnie przez „Osservatore Romano“. Porozumienie to reguluje jak najdokładniej położenie Akcji katolickiej we Włoszech i stanowi dokument, wyjaśniający art. 43 włoskiego konkordatu.

I tak Akcja katolicka we Włoszech jest organizacją diecezjalną i zależy bezpośrednio od biskupów, którzy wybierają jej duchownych i świeckich kierowników. Nie będą mogli być kierownikami osoby, które należałyby do stronnictw, opozycyjnych względem rządu. Stosownie do swoich celów natury religijnej i nadprzyrodzonej, Akcja katolicka nie zajmuje się wcale polityką, a w swoich zewnętrznych formach organizacyjnych powstrzymuje się od wszystkiego, co właściwe jest partjom politycznym i odpowiada ich zwyczajom. Sztandarem lokalnych związków Akcji katolickiej będzie sztandar narodowy.

Akcja katolicka, według swego programu, nie zakłada stowarzyszeń zawodowych i syndykatów rzemieślniczych, nie stawia sobie przeto celów o charakterze syndykatowym. Jej wewnętrzne sekcje zawodowe, istniejące obecnie i uwzględnione w ustawie z 3 kwietnia 1926 r., utworzone są w celach wyłącznie duchowych, religijnych i stawiają so-

bie ponadto za cel przyczynianie się do tego, aby prawnie uznany syndykat coraz lepiej odpowiadał zasadom współpracy klas i ostatecznym celom społecznym i narodowym, jakie w kraju katolickim państwo postanowiło osiągnąć przy pomocy obecnych urządzeń. Należące do Akcji katolickiej koła młodzieży nazywać się będą stowarzyszeniami młodzieży Akcji Katolickiej. Stowarzyszenia te mogą mieć legitymacje członkowskie i oznaki, ściśle odpowiadające ich religijnemu celowi, a nie będą miały innego sztandaru, prócz narodowego i chorągwi religijnych. Stowarzyszenia lokalne będą się powstrzymywać od rozwijania jakiejkolwiek działalności o typie gimnastycznym i sportowym, ograniczając się jedynie do rozrywek o charakterze rekreacyjnym i wychowawczym, o celach religijnych.

Z powyższych postanowień wynika, że położenie i działalność tej tak ważnej dla życia katolickiego instytucji, jaką jes Akcja katolicka, zostały w zawartej ugodzie szczegółowo uregulowane. „Osservatore Romano" nadmienia przy komentowaniu tego wydarzenia, że na mocy zawartej umowy przywrócona zostaje możność jednoczesnego należenia do włoskiej Akcji katolickiej i do narodowej partji faszystowskiej.

Emil Rewerowski.

Do powyższych słów autora pozwala sobie Redakcja dodać narzucającą się chyba każdemu katolikowi uwagę, że ostatnia ugoda między rządem faszystowskim a Kościołem stanowi niewątpliwie pewną analogję do „Canossy". Faszyzm, mimo całego swego mocarstwowego rozmachu, musiał ugiąć się przed misją pasterską katolicyzmu.

I postąpił mądrze. Mussolini — jakiekolwiek są jego osobiste przekonania religijne — dowiódł politycznego rozumu. Gdyby bowiem ustrój faszystowski, który wyciągnął Włochy z grożącej im bolszewickiej anarchji i porwał je

na tory starorzymskich tradycji mocarstwowych, kontynuował i pogłębił lekkomyślnie rozpoczętą walkę z Kościołem, to po pierwsze, sprowadziłby najniewątpliwiej rozdwojenie we własnem państwie, a powtóre, zsunąłby się szybko do destrukcyjnej roli pierwszej lepszej doktryny rewolucyjno-wywrotowej.

Zrozumiał to w czas Mussolini i dlatego — pospieszył przykry spór załagodzić i usunąć.

Redakcja.

ZŁOTA KLATKA.

Na marginesie nowoczesnej ekonomji.

Nie ulega już dzisiaj żadnej wątpliwości, że powojenne rządy państw cywilizowanych, zwłaszcza europejskich, podały sobie ręce z ekonomistami, aby nas — ogół obywateli — na gwałt, za wszelką cenę i mimo naszej woli lub gustu uszczęśliwić. Rządy i uczeni ekonomiści, ponoszeni świadomie lub podświadomie ogólną falą najnowszych koncepcji i „zdobyczy“ doktryn demokratycznych wszelakiego kalibru, usiłują nam narzucić, prawem czy lewem, szczęście materjalne i to takie, jakie stoi nakreślone w uczonych elukubracjach różnych społeczno-ekonomicznych teoretyków, marzycieli i statystów. Skoro uczony ekonomista, dźwigający w głowie istną bibljotekę dat statystycznych, cyfr i prawdziwie kabalistycznych argumentów, przepojonych ciężką nomenklaturą, wyczytał w księgach innych uczonych ekonomistów (oczywiście zagranicznych!) takie a takie dogmaty forsownego uszczęśliwiania społeczeństwa i tworzenia mu — czy ono chce, czy nie chce — społeczno-ekonomicznego raju na ziemi, to wygłasza zaraz te dogmaty z emfazą, zaprawiając je pewną szczyptą własnej „samodzielnej“ uczoności i podaje tę strawę sferom gospodarczym, a co gorsza rządom, jako nieomylne proroctwo przyszłej ewolucji stosunków, a zarazem jako uniwersalne na wszelkie bolączki lekarstwo.

Byłem raz na uczonem zebraniu ekonomistów, w którem osiwiała wiedza i „doświadczenie życiowe“ szły w zawody i harmonijnie się uzupełniały z młodzieńczym, ale niemniej uczonym zapałem. Szło na tem zgromadzeniu oczywiście o to, aby stwierdzić rodzaj i charakter kryzysu światowego, a potem sformułować takie recepty szczęścia i dobrobytu, żeby każdy obywatel, dźwigający dzisiaj stosy

protestowanych weksli w kieszeni dziurawego paltota, mógł mieć codzienie kurę w rosole, wedle słynnego hasła Henryka IV-go.

Czego się tam nie nasłuchałem! Dość, że gdy opuszczałem uczone zebranie, szumiało i huczało mi w uszach, a chociaż to człowiek swego czasu niejedną księgę ekonomiczną przewertował i coś niecoś poznał z tej wiedzy, to jednak nie miałem wrażenia, aby wszystkie te szumiące wywody i recepty mogły mi pomóc na serjo do sprawienia sobie... nowej pary butów! Przepraszam czcigodną wiedzę ekonomiczną, ale, mimo najlepszej chęci, nie mogłem jakoś moim prostym rozumem skombinować, w jaki sposób te wszystkie piękne, mądre, uczone wywody, które przed chwilą słyszałem na sali, mogą mi realnie dopomóc do choćby tylko tak drobnego podwyższenia moich dochodów, abym mógł sobie pozwolić na tak potrzebną drugą parę trzewików lub nową marynarkę, gdyż ta, którą miałem na sobie, pozostawiała już wiele do życzenia — zwłaszcza przy uczęszczaniu na tak dostojne zebrania.

Jeden tylko z mówców podobał mi się nadzwyczajnie, ale bałem się powinszować mu, bo krótkie jego przemówienie wcale nie było uczone i nie pasowało do ogólnego, wysoce uczonego nastroju. Był to mówca ostatni z kolei. Wstał i oświadczył, że według jego skromnego mniemania, obecny kryzys w Polsce wywołany jest przedewszystkiem demagogicznym, antygospodarczym ustrojem państwa. Jakoś mi to głębiej i szczerzej przemówiło do przekonania, niż esy i floresy poprzednich mówców, oparte głównie na akademickich podręcznikach ekonomji oraz na światowładnych enuncjacjach amerykańskich ekonomistów (a raczej dorobkiewiczów). Ale z tak niefachowem zdaniem nie śmiałem oczywiście wystąpić!

Koniec końcem, ekonomiści chcą nas wszystkich gwałtem uszczęśliwić, chcą każdemu z nas, bez różnicy, napełnić równomiernie złotem kieszenie. A ponieważ nieprawość poszczególnych obywateli nie dozwala im na szybką

realizację tych wzniosłych zamiarów, więc twierdzą i głoszą na wszystkie strony, że powinno to zrobić systemem przymusowym państwo i że „nowoczesny postęp zmierza w kierunku coraz większej ingerencji państwowej w prywatne życie gospodarcze“.

Oto kwintesencja nowoczesnej wiedzy ekonomicznej, oto zarazem największy jej aksjomat i wynalazek. A na język prosty, popularny, tłomaczy się to tak: Tobie, obywatelu, coraz mniej będzie wolno robić (i zarabiać), bo wszystko za ciebie zrobi urzędnik.

Otóż w tej uczonej tendencji forsownego, przymusowego uszczęśliwienia obywateli przez państwo, wiążącej im ręce i nogi, leży właśnie kapitalne nieporozumienie między rządami państw i kołami uczonych ekonomistów z jednej, a resztą społeczeństwa z drugiej strony.

Bo zarobić pragnie wprawdzie każdy, ale polepszenie dobrobytu wówczas tylko ma wartość dla jednostki i wywołuje w niej uczucie zadowolenia, jeżeli idzie w parze ze swobodą. Każdy przyzna, że obsypanie złotem i równoczesne zamknięcie w złotej klatce, gdzie ani sobą, ani owem złotem swobodnie dysponować niepodobna, nie jest żadnem szczęściem, ale... nieznośną niewolą. A do takiej niewoli pchają nas nowoczesne teorje polityczno-ekonomiczne pod wpływem sugestji chwilowego kryzysu światowego, a stąd chwilowego zaniku inicjatywy prywatnej i chwilowego zastąpienia jej w konsekwencji przez ingerencję państwową, jak niemniej także pod wpływem doktryn kollektywistycznych, które wszelkiemi porami przenikają w umysły ekonomistów „burżuazyjnych“.

Zapewne, że gdzie żywotny interes gospodarczy tego wymaga, a inicjatywa prywatna dla braku grosza nie dopisuje, tam pewna interwencja państwa jest oczywistą koniecznością. Jest ona konieczną także jako niezbędny regulator pewnych norm i porządku w stosunkach między ludźmi, którzy bez tego wydrapaliby sobie oczy w walce o byt. Policjant zawsze jest i będzie potrzebny, jak długo człowiek

będzie człowiekiem. Jest też potrzebną pewna opieka państwa w regulowaniu gospodarczych stosunków międzynarodowych. Ale na tem koniec! Nie życzymy sobie dalej sięgającej opieki i ingerencji zarówno państwa, jak zwłaszcza różnych teoretyków-ekonomistów, rzucających z okien swego gabinetu niebezpieczne proroctwa dla „człowieka z ulicy“.

Chcemy załagodzenia kryzysu i zwiększenia naszych zarobków, ale pod żadnym warunkiem nie za cenę wolności. Wszak nie po to tęskniliśmy i dążyli do niepodległości politycznej, aby popaść w niewolę ekonomiczną i — osobistą! Nie chcemy tego i to tem mniej, że jesteśmy przekonani, iż drogą nadmiernej państwowej ingerencji i społecznego przymusu nie osiągnie się tego złotego celu, tej kury w zupie, o którą pp. etatyzującym ekonomistom tak chodzi. Bo nadmierna ingerencja państwowa, to rzecz bardzo kosztowna, która wyczerpuje zawsze, prędzej czy później, siłę płatniczą obywatela, trawiąc w końcu nawet samą jego substancję majątkową i warsztat pracy. Nieprawdą jest, że nadmiarem świadczeń publicznych i coraz większem krępowaniem inicjatywy indywidualnej stworzyć można trwałą równowagę budżetu i spotęgować wytwórczość krajową! Nieprawdą też jest płochliwa sugestja wielu ekonomistów, że w kształtujących się nowych warunkach gospodarstwa światowego swoboda indywidualna musi być i będzie coraz bardziej ograniczana na rzecz państwa lub nawet bloków międzypaństwowych! Tak nie jest i nie będzie. Dzisiejszy defetyzm gospodarki indywidualnej nie ma nic wspólnego z teorjami kollektywizmu, ale podobny jest raczej do psychologji żebraka, proszącego o jałmużnę. A tego wielu z naszych proroków nie rozumie!

Przychodzi na myśl owa słynna bajka o tłustym brytanie i chudym wilku. Kiedy brytan, syty i wypieszczony, ale uwiązany na łańcuchu, namawia głodnego wilka, aby przyjął „posadę podwórzową“ u człowieka, wilk mu odpowiada:

— Dziękuję! Lepszy na wolności kęsek ladajaki, niźli w niewoli przysmaki!

My ranżujemy się stanowczo po stronie tego wilka. A kto chce nałożyć sobie na kark łańcuch i obróżę i za tę cenę stanąć przed pełną misą (notabene bardzo wątpliwą), temu życzymy szczęścia i powodzenia...

Testis.

GŁOSY CZYTELNIKÓW.

I.

STOSUNKI ZE WSCHODNIM SĄSIADEM.

Z Rosją łączył większą część naszego narodu długotrwały przymusowy marjaż. Z Rosją, zarówno w przeszłości historycznej, jak i w teraźniejszości lat ostatnich, mamy koneksje zbyt liczne, abyśmy o niej, jako o organizacji politycznej, militarnej czy gospodarczej, społecznej czy kulturalnej, mogli mówić jedynie jako obserwatorzy i odlegli, czysto objektywni badacze, niejako widzowie z lotu ptaka. Rosja jest pierwszorzędnym współczynnikiem naszego bytu zarówno państwowego, jak i narodowego, więc też cokolwiek mówić będziemy o Rosji, my, Polacy, to treścią istotną, choćby najbardziej zamaskowaną w rozumowaniu, będzie zawsze *nasz stosunek do Rosji*.

Dyskusje prasowe, prowadzone na ten temat z coraz większem ożywieniem, unaoczniają głębokość problemu i mam wrażenie, że zanim będzie można mówić o spełnieniu, bodaj w części, wielkiego zadania określenia naszego stosunku do Rosji, zarówno teraźniejszej, jak i każdej przyszłej, musimy podjąć się narazie nieco skromniejszego zadania, a mianowicie czynności, którą nazwałbym zinwentaryzowaniem naszych wiadomości i pojęć o Rosji przeszłej i dzisiejszej. Dalszy ciąg naszej czynności polegałby na systematycznem ułożeniu sobie tego materjału w aparacie naszego rozumowania. Okaże się przytem zapewne, że wiele z tych naszych wiadomości i pojęć o Rosji ma bądź to wartość czcigodnych zabytków muzealnych, bądź też stanowi bezużyteczny balast, jako materjał nieścisły, błędny, albo wręcz niezgodny z prawdą. Powiedzmy so-

bie szczerze, że my obecnej Rosji, zarówno sowieckiej, jak i tej małej — emigracyjnej, prawie nie znamy, a wielekroć czerpiemy najaktualniejszy materjał informacyjny o dzisiejszej Rosji ze źródeł... niemieckich.

Celem mej notatki jest zatem zwrócenie uwagi na ten fakt i skromne wskazanie na konieczność bardziej rygorystycznego przygotowania się do rozwiązania zadania.

Uważam za bardzo niebezpieczne i niecelowe posługiwanie się w rozumowaniu przeświadczeniem np. o naszej bezwzględnej wyższości kulturalnej nad Rosją, o takich czy innych cechach mentalności rosyjskiej, o takiej czy innej wadliwości ustroju militarnego Rosji, o bierności czy aktywności jej rynku w stosunku do wydajności czy chłonności naszego organizmu gospodarczego — i wielu, wielu innemi pojęciami, wyciąganemi z zatęchłego lamusa wspomnień, błędnych poglądów lub poprostu z powojennej kolekcji niedostatecznie rozważanych, a chaotycznie chwytanych pogłosek i wiadomości. Czytając rozliczne prace publicystyczne, rozsiane po łamach naszej prasy, choćby politycznie względnie jednokierunkowej, odnosimy bardzo różnolite wrażenia. W oświetleniu jednych: na zgliszczach pożogi i krwawem pobojowisku rewolucyjnem święci tryumfy bluff doktrynerów, oderwanych od rzeczywistości; w mniemaniu zaś innych, nawet niekomunistów, lecz bezkrytycznych strachajłów: ex oriente świeci lux nowego porządku społecznego i gospodarczego, który normalizuje się i musi wywołać przebudowę struktury społecznej i politycznej świata.

Jednym wygodniej jest głosić o załamywaniu się bolszewizmu, o chaotyzowaniu się porządku, dezorganizacji armji i administracji krajowej, upadku zdrowotności, szkolnictwa — innym jeżą się na głowie włosy, gdy opowiadają z pełną wiarą o nadzwyczajnym wzroście armji sowieckiej, jej technicznem wyposażeniu, o ulepszającej się z dnia na dzień administracji, rozwoju urządzeń sanitarnych, szkół

i postępie nauczania powszechnego, oraz o zdobyczach naukowych uczonych sowieckich.

Z szyderczym uśmiechem porównywa niejeden naszą „zachodnio-europejską wolność" przemysłu i handlu, z wyłącznie panującym etatyzmem sowieckim, z hiobową zaś miną cytuje inny cyfry, dotyczące wzrastającej produkcji żywności i wytworów przemysłowych, coraz lepszej organizacji pracy (przymusowej!) w przemyśle, handlu i rolnictwie.

Doszło do tego, że krytycznie czytać należy uwagi nawet najpoważniejszych obserwatorów, którzy wyjeżdżają do Rosji dla poznania obecnych stosunków. Komu tak lepiej dogadza, ten pisze o ucisku nierosyjskich narodowości, o antysemityźmie w Sowietach i t. p., a komu potrzebne inne oświetlenie, ten opowiada, jak to w Sowietach każda narodowość ma szkoły własnego języka, administrację narodową i ogólną swobodę narodowego rozwoju.

Są jeszcze tacy, którzy powołują się na statystykę rozwoju naszego handlu z Rosją — przed wojną, a znowu inni wskazują na przebudowę gospodarczą Rosji dzisiejszej i z rozszerzonemi ze strachu oczyma udowadniają, że z Rosji można obecnie przywozić perkaliki, tańsze od naszych.

Jakżeż różne są nasze wyobrażenia o naszej wschodniej sąsiadce! Jednym z naszych grzechów głównych jest myślenie kategorjami przedwojennemi i pojęciami z przed lot conajmniej dwudziestu oraz poddawanie się — niewątpliwie podświadomemu — złudzeniu, że za rok, za pięć, może za dziesięć czy dwadzieścia lat wróci wszystko w Rosji do dawnego porządku, no... a wówczas? Grzechem też naszym jest wspominanie, pod jakimkolwiek kątem widzenia, dawnego panslawizmu, w jego „panrosyjskiej" szacie godowej, zastanawianie się nad nim, straszenie nim z powodu wspomnień o takim panslawiźmie, odrzekanie się od rzetelnego współdziałania z innymi sło-

wianami, współdziałania, mającego podłoże wspólności rasowej, na czem my w żadnym wypadku stracić nie możemy.

Grzechem wielkim jest wyciąganie jakichkolwiek wniosków o możliwości nawiązania przedwojennych stosunków handlowych z Rosją, względnie obsadzenia przedwojennych placówek przemysłowych czy technicznych w Rosji, której dzisiaj każdy Polak zarobkujący może wydawać się szpiegiem politycznym, wojskowym czy przemysłowym. Zapominamy nieraz, że w Rosji znajduje się in statu nascendi przebudowa ustroju gospodarczego, że tam jest absolutny zakaz strajków, natomiast istnieje przymus pracy, podczas gdy u nas jest zupełna swoboda strajków i praktyczna wolność terroru przeciw tym, whichzyby chcieli wyłamać się z pod strajku; że w Rosji jest uregulowanie zarobków wedle z góry oznaczonych konkurencyjnych cen sprzedażnych wszelkich produktów, a u nas podtrzymywanie bezrobocia i marnotrawstwa energji ludzkiej przez płacenie premji za nicnierobienie takim, którzy dopiero od pewnej stawki wzwyż raczą jąć się pracy, a jednocześnie brak jest wolności pracowania wedle własnego uznania, tak co do czasu pracy, jak co do wysokości wynagrodzenia.

Poza możliwościami pokojowego współżycia, rozważamy wszechstronnie wszelkie możliwości wojenne z Rosją...! Śmiertelnym, a zupełnie niewybaczalnym grzechem naszym jest zaś: operowanie w naszych rozumowaniach niewiadomą tak, jakby ona była dla nas cyfrą znaną. Oto rozumujemy tak, jakbyśmy zapomnieli o ścisłej współzależności od naszego wewnętrznego porządku w państwie kierunków i natężeń naszej polityki zagranicznej, a więc przedewszystkiem dla nas najaktualniejszej: rosyjskiej. Zdajemy się zapominać, że dla naszej polityki zagranicznej w stosunku do Rosji mają może mniejsze znaczenie zasadnicze dążenia rozwojowe Rosji na terenie polityki wszechświatowej, aniżeli pewne nasze wewnętrzne sprawy na kresach wschodnich, których należyte, męskie i zdecydo-

wane załatwienie odkładamy ciągle na później. Zdajemy się nie rozumieć, że nasze znaczenie gospodarcze w porównaniu z Rosją może ulec zasadniczemu przewartościowaniu, jeżeli będziemy sobie nadal pozwalać na życie nad stan, czy to w zakresie przerostu administracji i niedość dołężnej biurokracji, czy w zakresie zabijającego nas etatyzmu, czy w zakresie przerostu i wadliwej organizacji t. zw. zdobyczy socjalnych, czy w zakresie zabójczych i wypłaszających płynny kapitał progresji podatkowych i wielu ustaw, które są w każdym razie nastawione przeciwko zmysłowi oszczędności, twórczości i inicjatywie na polu gospodarczem warstw, wytwarzających kapitał. Chyba nie rozumiemy, że konsekwentna, choć ideowo zupełnie nam obca polityka gospodarcza Sowietów, która po wywłaszczeniu „środków produkcji“ wywłaszczyła także „pracę“, aby uzyskać logiczną równowagę struktury gospodarczej, urosła do groźnego dla nas czynnika, wobec którego musimy dokonać przedewszystkiem stosownej przebudowy wewnętrznej, przemyślanej we wszelkich szczegółach i tworzącej logiczną całość, zdolną do odporu zarówno na zewnętrzne, jak i wewnętrzne ataki organizmów obcych. W obecnym stanie polski ustrój gospodarczy jest niezdolnym do życia i stopniowo zamierającym bastardem ustroju kapitalistycznego oraz ustroju socjalistycznego. Mając na oczach ujemne skutki przykładu rosyjskiego, na wzór którego niewolnictwa wprowadzać nie chcemy, musimy oczyścić przedewszystkiem nasz ustrój gospodarczy. Winniśmy corychlej przywrócić zachwianą równowagę pomiędzy kapitałem a pracą, gdyż ten brak równowagi osłabia nas taksamo na zewnątrz, a w szczególności wobec Rosji, mającej tak wyjątkową strukturę gospodarczą, przy wielu zbliżonych do naszych, warunkach naturalnych.

Nie możemy liczyć na przeczekanie obecnych stosunków rosyjskich, gdyż znana nam z historji bierność masy rosyjskiej nie rokuje gwałtownych przewrotów, ani szyb-

kich zmian. Musimy natomiast uelastycznić odporność naszego własnego organizmu politycznego i gospodarczego, aby móc każdorazowo dostosować się do przemian i warunków zewnętrznych.

Po zinwentaryzowaniu naszych pojęć o Rosji, uregulowaniu niektórych wewnętrzno-politycznych zagadnień i naprawie struktury gospodarczej, będziemy bardziej przystosowani do rozwiązywania problemów polityki zagranicznej, a w szczególności rosyjskiej.

Już raz w historji tak się złożyło, że nasze stosunki wewnętrzne z nieubłaganą konsekwencją zaważyły na szali naszych stosunków zewnętrznych — z Rosją.

To jest już cechą naszego stosunku do Rosji, a kierunek obecnego jej rozwoju nakazuje nam znowu uporządkować corychlej nasze stosunki wewnętrzne. Inaczej o żadnej przyszłej aktywnej roli wobec naszego wschodniego sąsiada nawet marzyć nie możemy!

A. Z.

II.

ZAGADNIENIE SENATU POLSKI WSPÓŁCZESNEJ.

„Nasza Przyszłość“ swoją opinję w sprawie roli senatu przy zmianie ustroju państwa, czyli „naprawie Rzeczypospolitej“, dawno już wypowiedziała. Zasadnicze postulaty myśli zachowawczej zostały w niej ujęte. Realizacja ich przedstawia duże trudności. Zdajemy sobie z nich sprawę. Nie mają one swojego źródła bynajmniej w jakimkolwiek doktrynerskim uporze czynników miarodajnych. Przeciwnie — zagadnienie dla nich jest otwarte, gotowe one są dać się przekonać najlepszymi właśnie argumentami.

Trudności natomiast polegają głównie na zupełnym chaosie różnorodnych koncepcji nietylko w obozie rządowym, lecz nawet w szeregach zachowawczych. Znane

nam dotąd wyniki ankiety konstytucyjnej oraz projekty poszczególnych polityków przedstawiają sprzeczne bardzo koncepcje. Jedni są za powołaniem senatorów wyłącznie z nominacji, inni za powołaniem ich wyłącznie z wyborów, inni znowu za wprowadzeniem ich z ciał samorządowych względnie korporacji gospodarczych. Obfitość argumentów za i przeciwko senatorom wirylistom i dożywotnim, za i przeciw oparciu senatu o samorządy względnie korporacje gospodarcze, za i przeciwko kooptacji, za i przeciwko wyborowi części senatorów przez sejm i t. d., zupełnie może dezorjentować interesującego się tem zagadnieniem obywatela.

Jedna wszakże wspólna cecha właściwą jest wszystkim tym opinjom i projektom, powstałym w wyniku rzucenia przez rządy pomajowe hasła naprawy Rzeczypospolitej. Jest to troska o znalezienie najlepiej odpowiadającego interesom państwa załatwienia. To już jest postęp ogromny. Przedtem bowiem, tak w okresie uchwalania sławetnej konstytucji marcowej, jak i wogóle w czasach przedmajowych, zagadnienie senatu traktowano wyłącznie niemal pod kątem widzenia krańcowo doktrynerskim, nie liczącym się zupełnie z potrzebami kraju, a wzorującym się przeważnie na „dogmatach" demagogji demokratycznej i rewolucyjnej. Przecież dla naszych trybunów ludowych Polska była jednem, ogromnem polem doświadczalnem dla wszelkiego rodzaju „reformatorskich" pomysłów. W dodatku senat, powstały w marcu 1919 r., był dziełem kompromisu pomiędzy tymi, którzy uważali samo istnienie drugiej izby za niezbędne i tymi, którzy samo to jej istnienie uważali za prowokację dla demokracji, za „kajdany", nałożone wolnej woli narodu! Kompromisowy ten twór, mając oba odłamy „myśli politycznej" zadowolić, nie mógł oczywiście zadowolić — racji stanu.

Wspólna więc cecha, wyżej wspomniana, tych wszystkich dzisiejszych opinji i projektów, stanowiąca ogromny postęp w naszej opinji publicznej na drodze do objektywi-

zmu i uznania praw przyrody, jest pozatem zrozumieniem konieczności korygowania prawodawstwa sejmowego przez czynnik, powstały zgoła odmiennie, o składzie zasadniczo gwarantującym conajmniej duże doświadczenie w służbie publicznej oraz przedstawiającym conajmniej równy sejmowi autorytet. Przeważa postulat równouprawnienia obu izb i objęcia obu wspólną historyczną nazwą „sejm“ (senatu i izby poselskiej). Dużo jest zwolenników odmiennych kadencji. Postęp jest niewątpliwie ogromny. To, co dotychczas udawało się tylko z trudem wpajać w społeczeństwo i co powoli, drogą interpretacji i przepisów, przeistaczało konstytucję marcową w system conajmniej znośny dla pracy państwowej, dziś już jest uznanym aksjomatem. Zaczynamy już wszyscy podchodzić do zagadnień konstytucyjnych w sposób dojrzalszy, liczący się zgóry z potrzebami energji twórczej narodu, racji stanu i objektywizmu, nie zaś z absurdami demokratycznych fetyszów międzynarodowych, masońskich czy marksowskich. Nie chodzi już o uzgodnienie senatu z przyjętą a priori koncepcją ustroju politycznego, lecz z potrzebą odpowiedniego wykorzystania sił państwowo-twórczych społeczeństwa.

Doskonałym podręcznikiem dla należytego orjentowania się w labiryncie współczesnego dorobku projektów i tez konstytucyjnych, dotyczących reformy składu i roli senatu, jest praca p. Adama Piaseckiego, pod tytułem, jaki nadaliśmy niniejszym uwagom. Bada on rozwój historyczny zagadnienia senatu i stan jego obecny na tle kryzysu ustrojowego. Zestawia chronologicznie projekty i opinje, dotyczące zmian senatu, powstałe w ciągu obu kadencji pomajowych — po omówieniu oczywiście kwestji reformy senatu przy zmianie konstytucji w 1926 r.

Autor, świadom niezmiernej trudności zagadnienia, nie propaguje żadnej doktryny i nie narzuca żadnych chwilowych rozwiązań, zadawalając się ustaleniem zasadniczych punktów i poszczególnych pytań. Powinna jego praca ułatwić nam tak zorjentowanie się w opinjach polityków,

bliskich naszej ideologji, jak i w realności poszczególnych, stawianych przez nich tez. Byliśmy i pozostajemy zawsze zdecydowanymi zwolennikami niczem nieskrępowanego wypowiadania żądań programowych myśli zachowawczej, objektywnej, państwowej. Życie winno jedynie decydować, ile z naszych postulatów zdołamy w danej chwili przeprowadzić. Nie wolno nam być kompromisowymi a priori. Musimy przedewszystkiem wiedzieć, czego sami chcemy. Inaczej nie możemy żądać od innych, by znali nasze dążenia i z niemi się liczyli. P. Piasecki, świadomy celu myśli zachowawczej, oddaje jej cenną przysługę. Winna ona spowodować czemprędzej ukazanie się zbiorowej opinji programowej, zawierającej zasadnicze tezy właściwej prawicy społecznej w Polsce, jednoczącej sfery zachowawcze i gospodarcze, powodujące się w życiu publicznem racją stanu i objektywizmem, w przeciwstawieniu do doktrynerów, demagogów i głów niedowarzonych, kierujących się emocjami, a nie trzeźwym intelektem.

W „aneksie" do swojej pracy pokusił się autor również o nakreślenie szkicu projektu senatu. Chce on nadać senatowi charakter nader poważny stałego doradcy Prezydenta Rzeczypospolitej, pełniący również funkcje rady stanu, od którego zgody zależą ustawy i który opinjuje dekrety Prezydenta; ma on prawo inicjatywy ustawodawczej. Senat składa się z członków dożywotnich (b. dygnitarzy najwyższych) i wirylistów (ewentualnie z głosem doradczym), z nominatów Prezydenta, z nominowanych przez Prezydenta kandydatów poszczególnych zrzeszeń publiczno-prawnych, z kooptowanych przez senat fachowców w poszczególnych gałęziach administracji oraz kandydatów samorządów wojewódzkich, wreszcie z senatorów, wybieranych (absolutnie względnie proporcjonalnie) przez sejm. Kadencja senatu ma trwać trzy lata. Z naszej strony nie mamy zasadniczych zastrzeżeń przeciwko temu „szkicowi projektu". Jest już w nim wiele syntezy do-

tychczasowego dorobku. Czas ostatni jednak, by myśl zachowawcza w Polsce zdobyła się wreszcie na jeden wspólny, zasadniczy program w sprawie reformy senatu i to program o charakterze oficjalnym.

A. R.

Zamieszczając chętnie powyższą recenzję książki p. d-ra Piaseckiego, jako dotyczącej sprawy, istotnie wielce aktualnej, pozwalamy sobie jednak ze strony redakcji wysunąć stanowczo dwie metody traktowania w obecnych warunkach zagadnień tego rodzaju w sferach zachowawczych, od których przecież każdy, nawet przeciwnik, spodziewa się więcej zdecydowanego i konkretnego postawienia każdej sprawy:

1) Wszelkie projekty jakichkolwiek reform, od nas wychodzące, nie powinny być traktowane nieśmiało, ogólnikowo, metodą ostrożnego „podchodzenia do zagadnienia", ale całkowicie skonkretyzowane — jeśli nie w szczegółach, to przynajmniej w linjach zasadniczych — i narzucone opinji publicznej zdecydowanym gestem, jako nasze credo, bez względu na to, czy, kto i w jakiej mierze zechce z nich skorzystać.

2) Zarówno kwestja przyszłego ustroju ciał ustawodawczych, jak wszelkie inne projekty reform, z szeregów zachowawczych wychodzące, powinny nosić cechę jak największej prostoty, bez zagłębiania się w coraz gęstszą dżunglę nowoczesnych filozoficzno-prawniczych koncepcji na temat takiego czy innego pojmowania roli czy funkcji władzy lub innych czynników w państwie.

To też „Nasza Przyszłość", po rozważeniu w łonie jej współautorów kwestji przyszłego senatu, wypowiedziała się zwięźle i lapidarnie o jego pożądanym składzie i kompetencjach w artykule prof. d-ra Tadeusza Hilarowicza,

zamieszczonym w III, lipcowym tomie 1930 r. p. t. „Nasze żądania reformy ustroju“. Całkowite równouprawnienie sejmu z senatem i podział senatu na wirylistów, nominatów Prezydenta Rzeczypospolitej oraz odpowiednich delegatów samorządów i różnych korporacji — oto nasze credo w sprawie racjonalnego składu senatu. Niczego więcej nie zamierzamy i nie potrzebujemy dodawać.

Projekt ten, wprawdzie tylko ogólny, ale dostatecznie uzasadniony, został swego czasu przedłożony także p. Ministrowi Sprawiedliwości. I dopóki jakiś inny, konkretny, oficjalny czy półoficjalny, konserwatywny projekt składu senatu się nie ukaże, mamy do pewnego stopnia prawo uważać nasz wyżej wymieniony projekt jako przeciętną opinię sfer zachowawczych w tym zakresie.

Redakcja.

MIGAWKI.

1. POD NACISKIEM PRAW PRZYRODY.

W chwili, gdy to piszemy (początek października), fala paniki ogarnęła wiele krajów i rządów i wszystkie niemal ważniejsze ośrodki gospodarcze w Europie. Finanse angielskie zachwiały się, waluta tamtejsza spada, zamykają się z przerażeniem giełdy w Anglji i na kontynencie, a banki państwowe i prywatne zdobywają się, przy pomocy rządów i największych gałęzi przemysłu, na niepraktykowane dotąd sposoby ratowania z toni już nietylko własnej egzystencji, ale gospodarstwa europejskiego wogóle.

My w Polsce, błogosławionem zrządzeniem Opatrzności, s t o s u n k o w o niewiele jeszcze odczuwamy z tej katastrofy. Pływamy dotąd jeszcze szczęśliwie po tych rozhukanych fluktach i mamy nadzieję wydobyć się z nich bez większego szwanku. Zresztą nie mamy nawet czasu rozmyślać nad tą niebywałą katastrofą za naszą zachodnią granicą, zaabsorbowani przecież aż do płaczliwego patosu naszym podwórkowym „kryzysem“ (trzeba sprzedać auto, sąsiedzie dobrodzieju i jeździć końmi antiquo modo, bo inaczej nie starczy na podróż w lecie zagranicę!), oraz stereotypowym „nawałem zajęć“, którym dzisiaj u nas każdy od wszystkiego zwykł się wymawiać (bo inaczej skądżeby wziął tych obowiązkowych pięć godzin dziennie na nieuchronnego bridża?).

Mamy więc dość własnych „zajęć“ i „kłopotów“, ba, nawet nieco zredukowane dochody w porównaniu do dobrych (ach, jakże dobrych!) przedwojennych czasów. Co nas obchodzi jakaś katastrofa finansowa, gdzieś tam, daleko, w zamorskich krajach!

A jednak obchodzić nas powinna i to bardzo. Nietyl-

ko z gospodarczego, ale więcej może jeszcze z innego punktu widzenia.

Bo i u nas jest jeszcze demokracja — taka porządna, uświęcona, de jure i de facto uznana demokracja. Tak uznana i tak uświęcona, że nawet najzaciętszy wstecznik-konserwatysta nie ośmieli się dzisiaj palnąć najkrótszej mówki bez oddania jej należnego, oczywistego, samo przez się rozumiejącego się pokłonu, a przynajmniej ukłonu.

Otóż ta właśnie demokracja załamała się i skompromitowała doraźnie w Anglji, a w konsekwencji i po wszystkich europejskich krajach, giełdach i... Genewach! Bo krach angielski nie jest w istocie swej niczem innem, jak bezpośrednim, nieuchronnym, logicznym rezultatem „postępu demokratycznego“ w tem zresztą dość rozsądnem i trzeźwo kalkulującem państwie. Ale teorja dobrodziejstw demokracji i „robotniczego raju na ziemi“ zaćmiła tam po wojnie tak umysły, że stworzono niesłychane absurda, przeciwne albjońskiemu common-sensowi i musiała w końcu nastąpić katastrofa. A na to żadne francuskie czy amerykańskie karetki pogotowia ratunkowego nie mogły poradzić.

Bo jakże tu poradzić ustrojowi finansowemu, który np. bezrobotnym większe płaci pensje, niż pracującym?! Daremnem byłoby wertowanie kart przeddemokratycznej historji, aby znaleźć analogje podobnego absurdu. Na coś takiego zdobyć się mogła tylko „zwycięska w wojnie światowej demokracja“, odstręczająca ludzi od pracy mirażem coraz większych przywilejów politycznych, redukująca bezkrytycznie pracę, a protegująca lenistwo aż poza granice wszelkich finansowych możliwości nawet bardzo bogatego państwa. Czego nie była w stanie dokonać czteroletnia wojna światowa, ani olbrzymi ciężar powojennych długów, tego dokonała w krótkim czasie radosna twórczość demokratycznego postępu.

I w tem właśnie leży dla nas memento mori! Utopijna doktryna demokratyczna, karmią-

ca naiwne rzesze tanim ochłapem powszechnego głosowania, wydała walkę prawom przyrody i zdrowego rozsądku — i w tej walce skompromitowała się z kretesem. Skompromitowały się i Bank Angielski (dotąd niby niewzruszona skała) i „niezwyciężona“ marynarka Albjonu, dotąd niemal wszechwładna królowa mórz, skompromitował się rząd i Partja Pracy i autorytet angielski, który bądź co bądź zejść musiał do roli żebraczej.

Tak się kończą zalecanki do niebezpiecznych utopji demokracji i postępu! Taki los spotka każde państwo, które nie zerwie z niemi póki czas i to w sposób kategoryczny.

Trzeba raz nareszcie, skoro tak dumni jesteśmy na cywilizację XX-go wieku, wyzwolić się z naiwnych doktryn, przesądów i społecznych recept uszczęśliwiających, które może pięknie wyglądały na sztandarach rewolucji francuskiej — stokilkadziesiąt lat temu — ale których stosowanie dziś jest najoczywistszym, naiwnym anachronizmem! Wiek XX-ty wymaga już szczypty zdrowego rozsądku i trzeźwego objektywizmu w polityce i gospodarce. Wyklucza utopje i doktryny. Wyklucza też coraz wyraźniej t. zw. „kwestję socjalną“, która jest w istocie czemś nierealnem, bo w teorji rozwiązać się nie da, a w praktyce im więcej się ją forsuje, tem bardziej się ją tylko zaostrza. Jest za to dotkliwym hamulcem dla wszelkich zamierzeń realnej naprawy stosunków zarówno politycznych, jak gospodarczych, jak właśnie i... społecznych.

Stąd nauka, że im mniej o niej się gada, a im więcej z kupieckim ołówkiem w ręku pracuje, tem lepiej dla wszystkich i tem łatwiej unika się krachów i kompromitacji.

Może, może nareszcie zaświta stopniowo w umysłach „cywilizowanych“, że wzbogaca pieniądz, indywidualną pracą zdobyty, nie zaś gwałt, przymus, przeciążanie

świadczeniami i propagowanie lenistwa, dokonywane w imię socjalnego postępu". A kto nie wierzy, dla kogo słowa „demokracja" i „postęp" stanowią jeszcze nietykalne tabu, albo kto sądzi, że przy radykalno-demokratycznym ustroju państwa jest możliwą poprawa stosunków gospodarczych, ten niech spojrzy na ruinę, jaką zrobiły z Anglji paroletnie rządy „ludowe"! Krach wewnętrzny, z którego na razie wyjścia nie widać, bunt na flocie i postępowy rozkład polityczny olbrzymiego imperjum: oto praktyczne skutki rządów radykalnej, doktrynerskiej, hasełkowej demokracji.

A powtarzamy, że ta demokracja jest i u nas jeszcze podstawą państwowego ustroju i norm gospodarczych i stosunków społecznych, mimo szeregu korektyw, wniesionych już przez rządy pomajowe.

2. P. P. P. P.

Było się na wsi tego lata — na tej wsi polskiej „spokojnej i wesołej". Wesoła to tam ona nie jest, ale przynajmniej spokojna, bo tak wszechstronnie zabezpieczona ubezpieczeniami, że nic w niej już nie drgnie.

Rozmawiam z „dziedzicem".

— No, jakże tam teraz?

— Straszny stan, jakiego nigdy jeszcze nie było! Nawet za Grabskiego! Bo to te ubezpieczenia, a przytem pszenica tańsza od żyta, a ja przecież właśnie pszenicę itd., itd., itd.

— No, to — powiadam — jakoś łączcie się, organizujcie, weźcie udział zrzeszony w życiu publicznem! Starajcie się zaważyć na losie gospodarstwa krajowego całą siłą waszego wpływu, który byłby niemały!

— A przecież mamy tam naszych posłów i delegatów i jakieś związki. Niech tam oni za nas gadają w Warszawie, przy wielkim ołtarzu! Co mi tam do tego! Ja, panie dobrodzieju, przy pługu od dziada pradziada, a nie do polityki.

— Tak mogło być dawniej, ale teraz, w ustroju sześcioprzymiotnikowej demokracji, musicie czasem oderwać się od tego pługa i zainteresować się gremjalnie areną publiczną, gdzie tandem tedy rozgrywają się wasze losy. Inaczej inni losami tymi pokierują, a za was przecież nikt kasztanów z pieca wyciągać nie będzie.

— Ani mi się nie śni! Wystarczą prezydja i delegaci. Musiałbym chyba do jakiejś partji się zapisać, a to ani mi w głowie. Już dość, że posyłam wkładki na kółko rolnicze i na powiatową wypożyczalnię książek, które przynajmniej czasem żona czyta. Ja tam do jednej tylko partji od urodzenia należę!

— Jakaż to partja?

— P. P. P. P.

— Nie rozumiem...

— Bardzo proste: Polska Partja Pełnego Pugilaresu!

— To bardzo dobrze, tylko zechciej pan zważyć, że przy wyłącznie tylko takich „przekonaniach politycznych" ziemiaństwa, przy takiem zainteresowaniu do spraw publicznych ze strony waszego ogółu, jedna z tych czterech liter może zmienić wnet swe znaczenie!

— ? ?

— Polska Partja Pustego Pugilaresu!

3. ENTUZJASTA.

Dzwonek w redakcji — woźny przynosi wizytówkę, a w ślad za nią wprowadza poważnego, zamożnego ziemianina z... Małopolski czy Poznańskiego — mniejsza o to. Dostojność i powaga bije z przybysza, wypełnia cały gabinet redaktorski.

Z godnością i powagą, aby nie rzec: z senatorskim gestem, zasiada na kanapie. Redaktor słucha z deferencją.

— Wie pan redaktor — zaczyna — że te wszystkie wasze dzienniki zachowawcze do niczego! Jeszcze może jeden „Czas" coś niecoś niekiedy... o ile Estreicher zechce

artykuł napisać. Ale reszta, to nic! Takie to jakieś blade, nudne, albo radykalno-sanacyjne, śladu tam niema prawdziwego konserwatyzmu. Ja tam jestem szczerym, stuprocentowym konserwatystą, ale żadnego konserwatyzmu nie mogę się dopatrzeć w waszych gazetach. One wcale nie czują z nami, nie popierają naszych interesów. One nie popierają nawet ideologji konserwatywnej. Niby coś, a właściwie nic. „Nasza Przyszłość“ zato, to co innego! To jest jedyne, prawdziwie konserwatywne pismo, jak się patrzy! Mogę pana zapewnić, panie redaktorze, że u nas każdy ziemianin ma je w ręku. Uważamy je poprostu za ewangelję. Tak, tak — trzeba pisać śmiało i odważnie i jasno i wyraźnie, jak to właśnie robi pańskie pismo! Ale wie pan co, trzebaby to pismo jeszcze więcej spopularyzować i udostępnić dla szerokich mas. Bo wiele jego walorów idzie na marne. Wszakże pan przemawia tylko do przekonanych. A przecież „Nasza Przyszłość“ powinna być dostępna w każdym kiosku za 50 groszy. Niechże wychodzi w jakimś szczuplejszym składzie i w wygodnym, bardziej reklamowym formacie, aby brał ją do ręki każdy, w kawiarni czy w pociągu i w pięć minut zorjentował się, o co chodzi. Szczerze to panu doradzam, jako gorący, zwolennik tego pisma!

— Bardzo mi pan pochlebia i składam dzięki imieniem redakcji i współautorów. Ale cóż to się panu tak specjalnie podobało w naszem skromnem wydawnictwie w ostatnich czasach?

— No, ja tam, panie, czytałem to i owo, ale stale nie mogę abonować, bo to prenumerata aż 4 zł. miesięcznie, a to — rozumie pan — w dzisiejszych czasach za drogo dla ziemiaństwa. Musimy się ograniczać!

— Oczywiście! Rozumiem doskonale. Ale, à propos, czy można wiedzieć, jak długo zabawi pan w Warszawie?

— Eh, nie dłużej, jak kilka dni. Zaproszono mnie tu na jakieś posiedzenie, no a przytem skorzysta człowiek ze sposobności, żeby się trochę przetrzeć w waszym wielkim

świecie. Posiedzenie, jak posiedzenie! Nic tam nowego nie usłyszałem, bo o czem tam gadali, to wie doskonale każdy ziemianin i bez Warszawy i bez posiedzenia. Co tu gadać — grozi nam ruina, ziemiaństwo jest w upadku. Wydam na tę podróż z pięćset złotych, dalipan całkiem niepotrzebnie! Ale trzeba się czasem odświeżyć w Warszawie, bo to u nas straszna prowincja! Nic, jak same tylko skargi i lamenty. Ratuje nas naprawdę tylko bridż, bo choć przytem człowiek przegra jakiś tam drobiazg, jakieś kilkanaście czy kilkadziesiąt złotych, zawsze to jednak odrywa na chwilę myśl od kłopotów. Ale mniejsza z tem — niechże pan redaktor pomyśli, czy nie możnaby formatu i prenumeraty trochę spopularyzować!

Wstał, pożegnał się kilkakrotnym, serdecznym uściskiem dłoni. A redaktor pozostał w gabinecie, zamyślony głęboko nad problemem: A więc pięćset złotych można wyrzucić na zbędną podróż, na jakieś mizerne posiedzenie, można codzień przegrać w bridża kilkanaście lub kilkadziesiąt złotych. To nie ciąży. Ale „nie stać“ na prenumeratę 4 zł. raz na miesiąc zamożnego zwolennika pisma, który się niem aż tak „entuzjazmuje“, że nie szczędzi tych 4 zł. na taksówkę tam i zpowrotem, z hotelu Europejskiego do redakcji pisma, aby wyrazić redaktorowi swe uwielbienie i doradzać mu zniżkę prenumeraty do 50 groszy miesięcznie!!!

A teraz Ty, wielce szanowny Czytelniku, który nie bawisz się w takiego entuzjastę, ale który za to płacisz regularnie i bez szemrania prenumeratę, racz mi powiedzieć, co można zrobić z ludźmi, którzy w ten sposób rozumują i kalkulują, jak nasz powyższy, a u t e n t y c z n y „entuzjasta“?!
